GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LIPCA 1932
NR. 13 ROK II

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 13
1—VII
1932 R

KOMITET REDAKCYJNY: ALEKSANDER K. IVANKA, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

DWA TYGODNIE

TRZY EUROPY.

Nie jest bez znaczenia, iż w ostatnich miesiącach, kiedy bierzemy pióro dla rzucenia na papier najważniejszych wydarzeń gospodarczych ubiegłych dwuch tygodni, przychodzą nam przedewszystkiem na myśl zagadnienia międzynarodowe. Niema w tem ani źdźbła jakiegoś wewnętrznego niedoceniania czy intymnej niechęci do zajmowania się problemami gospodarczej polityki wewnętrznej, ale poprostu wynika to z samej natury rzeczy. Niniejsza rubryka ma przecież w najbardziej syntetycznej formie odpowiadać na pytanie, co się w ciągu ubiegłych dni czternastu stało nowego? Jak w banalnem codziennem powitaniu odpowiedzieć na to można: wszystko po staremu... Bo też osobliwością położenia Polski wśród tych olbrzymich wstrząsów, jakich jesteśmy świadkami na całej kuli ziemskiej, jest to, iż właśnie u nas... dzieje się najmniej.

Zdolny publicysta francuski, p. Franciszek Délaisi, miał kiedyś dobrą i efektowną ideję podzielenia Europy na dwie zasadniczo odmienne od siebie części: Europę A i Europę B. Pierwsza bogata, zagospodarowana, wysoko uprzemysłowiona, zespolona w wyniku wiekowych stosunków handlowych, politycznych, druga — uboga, nierozwinięta gospodarczo, przeważnie rolnicza, składająca się w większości z t. zw. państw nowych, nieposiadających „stosunków" w społeczności międzynarodowej, nieposiadających tych szerokich kontaktów, jakie krajom dają setki lat handlu międzynarodowego... Te dwie Europy — twierdził ongiś p. Délaisi — są od siebie tak zasadniczo różne, iż mało wskazywałoby, że tworzą one właściwie jeden i ten sam kontynent. W pomocy Europy A dla Europy B widział gospodarczy obserwator jedyną drogę wyjścia z tych trudności, jakie już wówczas, kiedy pisał swe uwagi, ciążyły nad powojenną Europą i zapowiadały przyszłe klęski.

Klęski te już nadeszły i przekroczyły wszystkie oczekiwania. Jeśli rzucimy okiem na obecną sytuację tych „dwuch Europ", to pierwszem wrażeniem naszem będzie: bezradność i impas polityczny, gospodarczy i duchowy w Europie A, bankructwo — w Europie B. Okazuje się, że wprawdzie Europa B nie potrafiła dać sobie rady bez lekkiej przynajmniej pomocy Europy A, ale, że kryzys przechodzi najciężej w tych punktach, gdzie pomoc Europy A była... najwydatniejsza. Porównanie sytuacji takiej Austrji czy takiej Grecji z położeniem w Polsce czy Czechosłowacji dowodzi odrazu słuszności takiej tezy. Okazuje się jednak ponadto, iż sama Europa A nie potrafiła chwilowo bez Europy B utrzymać się na powierzchni w okresie powszechnego kryzysu. Zawiodły reklamowane stosunki zamorskie, rynki kolonjalne i południowo - amerykańskie, które jakoby miały stanowić ów pewny, doskonały i niezawodny obszar zbytu dla produkcji metropolij. Co więcej zaś, zemściła się taktyka lichwiarskich pożyczek, udzielanych skąpo i najniewłaściwiej w świecie lokowanych na terytorjach Europy B. Zemściła się o tyle, że nietylko procenty, ale i sam kapitał znajduje się obecnie pod bardzo wielkim znakiem zapytania.

Nie można uskarżać się (i najbardziej wymagający dziennikarz nie mógłby tego uczynić) na brak „sensacyjnych" informacyj zarówno z Europy A jak i z przeważnej części Europy B. Odszkodowania, długi międzysojusznicze, zatargi gospodarcze, kryzysy polityczne, parlamentarne i gabinetowe — oto temat, oto substancja wiadomości z Zachodu. Wielkie bankructwa, moratorja transferowe, kontrola obrotu dewiz strach przed inflacją, a wreszcie grożące stale i częściowo już wprowadzone w czyn niewypłacalno-

ści całych narodów — oto wieści, nadchodzące z krajów Europy B. Różnica jest wielka, skala całkowicie odmienna, sytuacje wyjściowe zgoła nie te same, ale wspólność w tem, co się tyczy bezradności, absolutnej niepewności jutra i wogóle zachwiania się wszelkich podstaw ustalonego już oddawna rozwoju gospodarczego, istnieje.

Na konferencji lozańskiej, gdzie „hurtem" pragnie się załatwić wszystkie te zewnętrzne trudności, jakie hamują powrót do normalnych stosunków psychicznych, do zaufania, pewności jutra, jednem słowem — do wejścia z powrotem w normalne łożysko gospodarczego życia w Europie, „fronty walk" (bo tak tylko określić można owe pacyfistyczne spory przy zielonych stolikach) rozciągają się przedewszystkiem w łonie samej Europy A, a następnie — pomiędzy nią i olbrzymią częścią Europy B. Odszkodowania i długi międzysojusznicze, kwestje celne i zakazowe, „wspólne fronty" w dziedzinie bezpieczeństwa i rozbrojenia — oto codzienny porządek obrad w łonie Europy A. Programy pomocy celnej finansowej, kredytowej — to próby restauracji naderwanych stosunków z Europą B.

W tych warunkach, odrzuciwszy na bok wszelką dumę narodową, z pełną świadomością niesłychanie ciężkiego okresu, jaki przeżywamy obecnie w Polsce, mamy prawo i możemy powiedzieć głośno, iż tworzymy sami niejako „trzecią Europę". Do należenia do pierwszej — brak nam jeszcze bardzo, bardzo wiele. Ale też z pewnością nie sposób nas identyfikować z drugą. W tej drugiej przecież „coś się dzieje", a to już w dzisiejszych czasach oznacza zawsze najgorsze. W epoce rozstrzygnięć międzynarodowych, które nie podlegają naszym wpływom i naszej decyzji, musimy za wszelką cenę doprowadzić do końca to niesłychanie trudne zadanie, jakim jest w naszych warunkach — wytrwanie. Podobni jesteśmy obecnie do tych frontów z czasów wojny światowej, które, odpierając ataki wroga, zawiadamiały w komunikatach swych świat o tem, iż „nie zdarzyło się nic nowego". Te same codzienne troski i stale wzrastające trudności na wszystkich odcinkach życia gospodarczego, politycznego czy społecznego mają przynajmniej jedną jedyną cechę pozytywną — to, że są *te same*. Dla publicysty działa to niewątpliwie źle na jego inwencję, ale właśnie ów brak sensacyjności tematów różni „trzecią Europę" od obu pozostałych. W korzystny sposób napewno od Europy B, ale — kto wie — czy częściowo nawet od Europy A.

STEFAN MEYER

PRZEMYŚLEĆ DO KOŃCA

Interwencjonizm jest ustrojem z istoty rzeczy przejściowym.

Przemyśleć do końca wszystkie konsekwencje interwencjonizmu, wyciągnąć wszystkie wnioski, ocenić wszystkie skutki, — nie jest rzeczą łatwą, ani przyjemną. Nie jest łatwą, bo potrącają one o zjawiska społeczne, jak rozmaitość uposażeń różnych grup pracowników, jak wspieranie rozmaitych grup konsumentów; o sprawy czysto polityczne, jak popieranie pewnych dzielnic i ośrodków; o normy prawne, bo powódź ustaw i rozporządzeń interwencyjnych zmienia powoli poczucie prawa w społeczeństwie. Nie jest rzeczą przyjemną, bo niektóre skutki sięgają głęboko w kategorje moralne, jak zagadnienie zysku z przywileju, jak odpowiedzialność za błędy kierownictwa tam, gdzie sankcja zniżki stopy życiowej nie działa, jak krzywda poniesiona przez przedsiębiorcę, którego inwestycje, naskutek nowych posunięć interwencyjnych, przestały się rentować, a stały się niezbywalnemi. Roztrząsanie tych wniosków prowadzi nas do szukania ujścia ustroju; w tym celu wprowadzam jeszcze jeden termin: *gospodarka programowa.*

Gospodarka programowa jest ustrojem, w którym źródło inicjatywy interwencji leży w rządzie, a kryterjum interwencji jest ustalona hierarchja celów gospodarczych.

W miarę rozwoju interwencjonizmu powstają dwie alternatywy: albo, zaspokoiwszy najniezbędniejsze potrzeby, grupy branżowe zaprzestają szukania pomocy państwa; albo też sprzeczne postulaty rozmaitych grup (po przebyciu okresu referendarskiego ustroju) zmuszają władzę państwową do ustalenia hierarchji celów gospodarczych.

Od ustalonej hierarchji celów do inicjatywy rządowej — tylko krok jeden.

Gospodarka programowa jest zjawiskiem częstszem niżby się pozornie zdawać mogło. Jest nią świadoma celu działalność polityków gospodarczych: Gustawa Wazy, Lubeckiego, Colberta, Cesarza Yang Ti, Cromwella, a w czasach, które czytelnik sam pamiętać może: Wittego (bawełna turkiestańska), lorda Cecil Rhodes, aby nie mówić o żywych.

Wszyscy ci władcy, czy ministrowie z własnej inicjatywy stwarzali warunki ułatwiające powstanie, bądź rozwój handlu, przemysłu, czy żeglugi, albo zapewniające łatwiejsze warunki rozwoju rolnictwa.

W Polsce rozbudowa Gdyni nie jest objawem interwencjonizmu, a gospodarki programowej. Inicjatywa bowiem pochodzi w tym wypadku od czynników państwowych, tak samo, jak w swoim czasie budowa St. Petersburga, lub za naszych dni Casablanki.

Gospodarka programowa jest zjawiskiem znanem dobrze z historji. Historja uczy nas, że dotychczas rozpływała się ona w bezprogramowym liberaliźmie: można przypuszczać, że interwencjonizm obecny w całej Europie rozpłynie się również, po przejściu fazy programowej, w taki sam sposób, jak i analogiczne okresy poprzednie.

Ale możliwym jest i inny rozwój wypadków: zamknięcie pola ekspansji inicjatywy prywatnej, które

obserwujemy, może doprowadzić do utrwalenia inicjatywy rządowej. Zależy to od zamożności i nastawienia psychicznego danego narodu. Jeżeli naród, który zarobek uważa za coś nieczystego, a zysk prawie za przestępstwo (może to echo uchwał sejmu 1645 r.?), który w dodatku nie ma wrodzonego poczucia ekspansji gospodarczej na obce tereny (Wokulski był właśnie wyjątkiem), jeżeli taki naród ma żyć własnem gospodarczem życiem, to inicjatywa jego działalności gospodarczej musi być ujęta przez małe grono zdecydowanych na walkę ludzi. Najkorzystniej, jeśli to grono sprawuje władzę. Bierność gospodarcza społeczeństwa musi wywołać inicjatywę ze strony rządu lub drobnego koła.

Takie drobne koło gospodarczych pionierów ,o ile nie ma poparcia władz państwowych, ma z istoty ograniczone możliwości ekspansji i nie jest w stanie zapewnić całemu gospodarstwu narodowemu dostatecznej żywotności (Steinkeller, Łubieński).

O ile natomiast ma poparcie rządu, może łatwo z pola walki gospodarczej ześlizgnąć się w wąwóz szukania przywilejów.

Jeżeli natomiast inicjatywę rozwoju, jak już raz w Polsce sto z górą lat temu Lubecki, tak teraz znów rząd nadal podtrzymywać będzie, to takie rozwiązanie najmniej nasuwa wątpliwości i obrazów niebezpieczeństw. Wykonanie inicjatywy może być pozostawione i czynnikom pozarządowym, jak sto lat temu, byle pod ścisłą kontrolą inicjatora.

Ze słów powyższych możnaby wysnuć wniosek, że zamierzam wrócić do dyskusji o etatyźmie, tak starannie od lat kilku omijanej. Nie. Zamierzam tylko ująć różnicę pomiędzy przemysłową działalnością państwa w ramach kapitalizmu państwowego, zwaną pospolicie etatyzmem, a interwencjonizmem.

Różnica ta leży nietylko w tytule własności. Przy interwencjoniżmie państwo zachowuje do pewnego stopnia dyspozycje gospodarcze bez zwiększania ciężaru majątku państwowego i ciężaru związanych z posiadaniem zobowiązań. Leży ona i w źródle inicjatyw drobiazgowych w łonie samych przedsiębiorstw, w możności wyzyskania talentów i uzdolnień osób podwładnych.

W ramach interwencjonizmu, czy gospodarki programowej, można harmonijnie połączyć kontrolę i dyspozycję rządową z temi cechami dodatniemi, które dla fazy indywidualnej i akcyjnej liberalizmu kapitalistycznego uznane zostały za nieodłączne od inicjatywy prywatnej. Natomiast etatyzm, czy faza koncernowa kapitalizmu stanowią teren, na którym owe błogosławione skutki inicjatywy prywatnej nie odbijają się w sposób klasyczny. Zmusza to do stosowania wobec nich innych metod regulacyjnych, aniżeli wobec tamtych dwóch formacji.

Stosowalność interwencji zależy zarówno od podkładu całego społeczeństwa, jak i od przeciętnego stopnia kapitalistycznej dojrzałości poszczególnych przedsiębiorstw ważniejszych branż. A w państwie, w którym istnieją równolegle rozmaite formacje, różnych faz kapitalistycznych, a nawet i przedkapitalistycznych (gospodarka naturalna w Pińszczyźnie), obranie metody regulowania zjawisk gospodarczych zależeć musi od konkretnych wypadków.

Stuprocentowy liberalizm, lub całkowite upaństwowienie środków produkcji i wymiany są koncepcjami bezwarunkowo konsekwentniejszemi i bardziej jednolitemi, aniżeli interwencjonizm, lub gospodarka programowa, która pozostawia swobodę działania jednostkom, byle w granicach narodowego programu i byle bez ciągłego wspomagania ze źródeł publicznych. Ale piękną i jednolitą koncepcję trzeba złożyć w ofierze potrzebom życia i posiłkować się w polityce gospodarczej tą tezą, która w danej chwili najmniej krzywdy, — najwięcej korzyści dla całości przyniesie.

Różnica pomiędzy etatyzmem a interwencjonizmem sprowadza się do różnicy pomiędzy tytułem posiadania a dyspozycją. Dysponować można i warsztatem cudzym: dowodem — istnienie karteli. Posiadać można i taki warsztat, którym wskutek umów sprzedaży (krajowych i międzynarodowych), umów licencyjnych za użycie instalacji, umów z pracownikami — wcale się nie dysponuje.

Po tej dygresji w stronę etatyzmu, wróćmy do dalszego rozwoju ustroju, zakładając, że kołem gospodarczych pionierów jest rząd. Konsekwentny rozwój inicjatywy rządu, który od ustalenia hierarchji celów gospodarczych, poprzez gospodarkę programową dochodzi do ustalenia, jakie ilości artykułów najważniejszych będą potrzebne w następnych latach, prowadzi od interwencjonizmu ku zrębom gospodarki planowej. Tędy więc szłaby ewolucyjna droga do planu gospodarczego, którego wykonawcami byliby albo funkcjonarjusze państwowi (po uprzednim okresie etatyzacji), albo funkcjonarjusze bezimiennej masy akcjonarjuszy, o ile rozwój nadal pójdzie po linji trustów, koncernów i karteli. Wykonawcy planu mogą, jak w rolnictwie duńskim, być funkcjonarjuszami, nawet i członkami spółdzielni, byle spółdzielnia umiała wpoić w swoich członków przeświadczenie, że w ich interesie leży ścisłe przytrzymywanie się programu, ułożonego z góry, a nie improwizacja indywidualna.

I w jednym i w drugim i w trzecim wypadku koniecznem jest nietylko stworzenie hierarchji celów gospodarczych, ale i organu, z którego pomocą społeczeństwo ustali tę hierarchję, oraz który narzuci mu swą inicjatywę. Czy organ ten wyłoni z siebie rząd, — dając początek gospodarce planowej państwowej, czy zrzeszenie gospodarcze, — inicjując gospodarkę planową autonomiczną, jest zagadnieniem dotyczącem gospodarki planowej; leży ona poza ramami dociekań o interwencjonizmie.

Interwencjonizm jest ustrojem przejściowym. Prowadzi on albo do planu gospodarczego, albo, jak już nie jeden raz w historji, z powrotem do liberalizmu. Czynnikami decydującemi o kierunku rozwoju są: dojrzałość gospodarcza psychiki społecznej, oraz dojrzałość form produkcji.

Następny numer „Gospodarki Narodowej" ukaże się 1 sierpnia b. r. w podwójnej objętości.

ANTONI WIĄZ

PALCE W BUTACH I PIĘŚCI

Sentymentalizm narodowy i społeczny w poważnej krytyce gospodarczej paczy właściwy obraz rzeczywistości i wywołuje pomieszanie pojęć w i tak niewyrobionej psychice gospodarczej Narodu.

Poza suchemi sprawozdaniami Głównego Urzędu Statystycznego i kilkoma narracyjno - informacyjnemi broszurami literatura o kapitale zagranicznym w Polsce jest naogół uboga. Nie mogę robić z tego nikomu zarzutu. Nie porusza się u nas całego szeregu najbardziej palących zagadnień strukturalno - gospodarczych, a więc nie poruszą się i tego. Gorzej jest natomiast, kiedy się z tak kapitalnego zagadnienia, jakiem jest niewątpliwie rola kapitału zagranicznego w Polsce, robi temat dla zupełnie niegospodarczych, ale natomiast bardzo literackich wystąpień. Wystąpienia takie, o ile są t. zw. czystą literaturą (vide: problem Coeur'a u Kadena), mają niewątpliwie rację bytu, jako część integralna polskiej rzeczywistości, zobaczona i odczuta przez utalentowanego pisarza. O ile jednak wkrada się do tego rodzaju wystąpienia wyraźna publicystyka o zabarwieniu politycznem, wówczas....

...Ale zacznijmy od początku. Mamy przed sobą kilka artykułów, jakie ostatnio ukazały się w prasie na temat kapitału zagranicznego w Polsce. Jeden z nich ukazał się w „Gospodarce Narodowej" (Nr. 10 z dn. 15 maja r. b.) p. t. Interwencjonizm i kapitalizacja wewnętrzna. Autor jego, p. Diamand, usiłuje podejść do zagadnienia kapitału zagranicznego w Polsce od strony gospodarczej. P. Hulka - Laskowski od szeregu miesięcy pisze na tenże temat w szeregu pism z punktu widzenia społecznego. Ostatnio tygodnik „Przełom" potraktował zagadnienie to z płaszczyzny literacko-rewolucyjno-feljetonowej (innego określenia chwilowo, niestety, nie znajduję). Kapitałem zagranicznym w Polsce zaczynają się interesować nie na żarty. Odwrotnie proporcjonalnie do zainteresowania się tego kapitału Polską.

Cechą wspólną wszystkich tych wystąpień (p. Diamanda zgóry przepraszam, że jego poważne uwagi stawiam na jednej płaszczyźnie z feljetonowo traktowanemi impresjami) jest wyraźną negacja do wszelkiego działania kapitału zagranicznego w naszem życiu gospodarczem. P. Diamand nie zamierza przeczyć o potrzebie przyciągania do Polski obcych kapitałów", ale przeciwstawia się ich dopływowi, o ile mają przychodzić „za wszelką cenę". Granica „iustum pretium" zagranicznego kapitalisty i owej „eksploatacji" jest u p. Diamanda zupełnie niejasna. To, że nie potrzebujemy kapitału, któryby nas bezlitośnie eksploatował, jak to się dzieje w niektórycmh państwach południowo - zachodniej Europy, wynika poprostu z faktu, iż... kapitał taki do nas nie przychodzi. Gdyby nasz stan (co Bogu dzięki nie ma miejsca) wymagał zastrzyku kapitałów zzewnątrz „za wszelką cenę", słuszne i rzeczowe uwagi p. Diamanda niczby przeciwko tej katastrofie zdziałać nie mogły. Kapitalista chce możliwie pewnie i korzystnie ulokować swe pieniądze. Czasami godzi się na mniejszą pewność, ale odbija to sobie — w stopie procentowej. O ile ma absolutną pewność, rezygnuje ze zbyt wygórowanych zysków. Są i tacy, którzy wobec niepewności rezygnują wogóle z zysków i kapitału nie lokują. Rozstrzyga tutaj wyłącznie interes kapitalisty i — jak powiedzieliśmy — siła danego organizmu państwowego. Wątpię, czy w tej dziedzinie interwencjonizm państwowy powinien normalnie mieć cośkolwiek do mówienia.

Ma on natomiast niewątpliwie do powiedzenia w tej sytuacji, kiedy istnieje obawa zbyt szerokiego przypływu kapitałów zagranicznych do jakiegoś organizmu państwowego. Hjalmar Schacht ostrzegał ponoć Niemcy przed bezkrytycznem braniem pożyczek amerykańskich. Sytuacja była tutaj odwrócona. Należało kapitalistom amerykańskim wytłomaczyć raczej, że, dając Niemcom zadużo pieniędzy, ryzykują ich utratę. Interes kapitalisty był tutaj przez niego samego zrozumiany zupełnie fałszywie. Nie jest to wina automatyzmu gospodarczego — tylko mózgów amerykańskich...

Interes kapitalisty i siła odporna organizmu dłużniczego daje wypadkową, określającą warunki pracy kapitału zagranicznego w danym kraju. Nie mówię tutaj, rzecz prosta, o pożyczkach politycznych, które z interesem gospodarczym kapitalisty mają niewiele wspólnego, a z reguły zresztą dają wyniki bardzo smutne dla obu stron. Wyjątki tylko regułę tę potwierdzają. Ale nie o to w tej chwili chodzi.

Do kapitału zagranicznego ma się u nas pretensję, że wyzyskuje nas. Pretensja zupełnie słuszna, ale niewłaściwie skierowana. Jeśli wyzyskuje, to tylko dla tego, że dajemy się wyzyskiwać. Jeśli dajemy się, to (prawdopodobnie) musimy się dawać. Taka jest logika faktów. Opowieści o Żyrardowie, najbardziej nawet wstrząsające, nic tutaj nie pomogą. Może zdarzyć się wybuch indywidualny, zmiatający z powierzchni tę czy inną zwyrodniałą jednostkę, ale śmierć „parobka kapitału" nie oznacza śmierci kapitału. Znęcanie się nad robotnikami jest funkcją braku reakcji. Brak reakcji wynika z braku objektywnych warunków. Artykuły p. Hulki - Laskowskiego ich nie stworzą, a wzbudzają (we mnie przynajmniej) przygnębiające uczucie własnej bezsiły...

Jeśli mianowicie czytam sprawozdania o roli kapitału zagranicznego w Polsce (może pisane z mniejszym talentem od feljetonów p. Hulki - Laskowskiego czy rozdziałów „Czarnych Skrzydeł"), z konieczności przychodzi mi na myśl nieśmiertelne: „Tu l'as voulu, Georges Dandin..." Tak, proszę panów. Kapitał zagraniczny, owe rekiny, które przyszły czy przychodzą do Polski, również wyrosły na nędzy własnych robotników. Dzieci angielskie dusiły się w kurzu, a robotnik francuski orał jak bydlę robocze. Ale się zagospodarowali, ale się dorobili Już swojego robotnika tak gnębić nie mogą. (A może i nie chcą?...). Więc gnębią innych. Oczywiście tam, gdzie się jeszcze da gnębić.

Z pięknej książki p. Eugenjusza Kwiatkowskiego można wiele się nauczyć, a jeszcze więcej sobie uprzytomnić. Trzeba było lepiej gospodarować kiedyś, a p. Hulka - Laskowski tematu do swych obserwacji dziś by nie miał. Powiedzą mi: a utrata

niepodległości?.. Odpowiem: i za to trzeba płacić Los robotników Żyrardowa czy innych zakładów, rządzonych przez Coeur'ów, wykuwał się dawno — bardzo dawno. Na zatraconym z własnej naszej winy wielkim naszym dobrobycie — na stworzonej własnemi naszemi rękami naszej rodzimej, nierozerwalnej z życiem polskiem nędzy.

Odrzućmy na chwilę na bok wszelkie sentymenty. Nikt z nas, (mówię o ludziach, zajmujących się teoretycznie czy praktycznie zagadnieniami gospodarczemi) nie posiada najmniejszych złudzeń, iż kapitalizacja wewnętrzna dać może rezultaty istotne tylko przy oparciu się o dopływ kapitału zagranicznego. To, co p. Diamand pisze o „niewoli gospodarczej" i zalecanych przezeń „plagach, utrudniających rentowność", wymyka się zupełnie z pod dyskusji. Być może, że wynika to z osobistych poglądów społecznych p. Diamanda, ale w normalnej ocenie gospodarczej nie wytrzymuje najlżejszej nawet krytyki. P. Diamand, który pragnąłby interwencjonizmem regulować dopływ kapitału zagranicznego, zapomina, zdaje się, iż „duo faciunt consensus". Albo istnieje „potrzeba przyciągania do Polski obcych kapitałów", a wówczas jedyną drogą jest stwarzać dla kapitałów tych takie warunki, aby przychodziły, a jednocześnie, aby możliwie mało (tak: możliwie mało...) nas wyzyskiwały, albo — potrzeba taka nie istnieje i wówczas można opowiadać patetyczne rzeczy o „niewoli gospodarczej" — nawzór tego, skądinąd niezwykle zacnego ideowca, który po uzyskaniu przez Polskę pożyczki stabilizacyjnej nie sypiał po nocach ze zmartwienia, nie wiedząc, czy śpi jeszcze na swojej, czy już na „cudzej" poduszce...

Kapitał zagraniczny jest w Polsce potrzebny — i nawet konieczny. Naszą rolą powinno być: dać mu odpowiednio zarobić, nie dopuścić do wyżyłowania nas do ostatka, a wreszcie wzmacniać się stopniowo przy jego pomocy, aby kiedyś w przyszłości się bez niego obyć. Trzeba, panowie o rozwiniętym sentymencie, spojrzeć odważnie w twarz gospodarczej rzeczywistości dzisiejszej Polski. Trzeba zobaczyć wcale nienajbogatszy z natury, a rozbity rozbiorami i niszczony wojną kraj, w którym społeczeństwo oddało „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty" wszystkiemu innemu, niż jakiejkolwiek zdrowej i ogarniającej szerokie rzesze myśli gospodarczej. Trzeba zrozumieć, że w kraju tym elementy obce narodowo zajmują gros kapitału przemysłowego i handlowego i, że mimo wszelkiej lojalności nie mogą i nie umieją wytworzyć w sobie tej brakującej nam myśli gospodarczej — poprostu dlatego, że (niezależnie już od ich nastrojów i woli) nikt nie próbował ich tego uczyć. Trzeba zdać sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach zagadnienia gospodarcze tak ściśle wiążą się na terenie międzynarodowym z politycznemi, że tego „iunctim" rozerwać się nie da, a — że właśnie my kłopotów politycznych, za które nieraz płaciliśmy grubo (i — kto wie — może i w przyszłości płacić jeszcze będziemy) koncesjami gospodarczemi, mamy ilość niezgorszą. Trzeba się nad tem wszystkiem dobrze zastanowić — i powiedzieć sobie potem: cóż u licha, w gruncie rzeczy: gdybym był obcym kapitalistą, to bym w tych warunkach starał się „ciągnąć" jaknajwięcej...

Żadne artykuły, żadne elukubracje w rodzaju zmodernizowanych: „Z dymem pożarów", czy „Nie będzie Niemiec..." na ten stan rzeczy nie pomogą. Trzeba się stać odpowiednio silnym i zwartym w sobie samym partnerem dla kapitału zagranicznego, a od razu ustaną nadużycia. Kapitał przychodzić będzie, ale kontentować się będzie mniejszem. Poprostu — nie będzie mógł liczyć na więcej.

To wszystko — ku uwadze tych, którzy bądź co bądź starają się o znalezienie drogi wyjścia z sytuacji bez historycznych zgoła wyskoków. Ci wszyscy — wierzymy — zrozumieją, że tylko targowanie się „jak o śledziową główkę", wyrywanie drobnych ustępstw, kłócenie się godzinami o drobiazgi, słowem — ów cały repertuar słabszego wobec silniejszego, pozwoli nam na odrestaurowanie naszej bazy do tego poziomu, na którym będziemy mogli rozmawiać z zagranicą — jak równy z równym. A wówczas — business is business. I żadnych innych względów.

Pod koniec muszę coś poradzić „Przełomowi". Niechże nareszcie zdecyduje się na wybranie sobie jakiegoś „credo" politycznego i gospodarczego. W orbicie, w której cyrkuluje on, a więc pomiędzy lewem centrum i lewym marksizmem można sobie ostatecznie znaleźć jakieś miejsce.

U W A G I

KONFERENCJE SĄ POŻYTECZNE.

Ktoś powiedział, że wielkie konferencje z udziałem kilkudziesięciu i więcej osób, są niepotrzebną stratą czasu. Nieprawda! Trzeba tylko umieć z nich wyciągnąć właściwy pożytek. Kto żąda od nich twórczości, nowych pozytywnych wskazań — musi doznać rozczarowań. Dają za to konferencje gospodarcze liczne korzyści uboczne. Dla mnie takim pewnym, chociaż niewątpliwie ubocznym pożytkiem jest łatwość konstatowania, które ze znanych i oklepanych przesądów i frazesów ekonomicznych są właśnie w modzie, które dopiero wchodzą w modę, a które już z niej wychodzą wskutek podeszłego wieku. Jednodniowa konferencja więcej pod tym względem uczy niż przeczytanie prasy z wielu tygodni. Z artykułu poznajemy tylko poglądy autora, który może nie być typowym przedstawicielem „myślącego gospodarczo społeczeństwa". Na konferencji obserwuje się nietylko mówiącego, ale i słuchaczy, wyczuwa się czy dany pogląd jest przyjmowany jako anachronizm czy jako niebezpieczne nowatorstwo, czy też właśnie odpowiada duchowi czasu. Nie chcąc być posądzonym o sobkostwo lojalnie dzielę się z czytelnikami „Gospodarki" częścią zdobyczy z jednej z ostatnich wielkich konferencyj.

Pogląd, że sławetna t. zw. „polityka prokonsumencka" przyczyniła się do wywołania późniejszego przesilenia, to nasz stary znajomy. Poznaliśmy go w sferach rolniczych, był także rozwijany z trybuny sejmowej przez jednego z najpoważniejszych „ekonomistów" opozycji, który odkrył, że w latach 1927 i 1928 ogólnie uważanych za pomyślne, w rolnictwie polskiem już panowało przesilenie i dlatego rolnictwo zadłużyło się i nie miało rezerw dla przetrwania czasów dzisiejszych. To odkrycie byłoby cenniejsze, gdyby je uzupełniono wyjaśnieniem, dla-

czego w tak ciężkim czasie mnożyły się w rolnictwie wkłady inwestycyjne, rosło spożycie nawozów, rozszerzał się szybko rynek rolniczy dla towarów przemysłowych. Według innej wersji dlatego importowaliśmy zboże w 1927 i 1928 r., że poprzednia polityka „prokonsumencka" zniechęcała do zwiększania produkcji. Tu pozwoliłbym sobie na skromne pytanie, czy lepszą zachętą jest dla rolnika polityka „prokonsumencka" i wysokie ceny artykułów rolnych, czy polityka ochrony produkcji przy niskich cenach. Jedynie w 1928/29 r. zakaz wywozu żyta i owsa mógł nieznacznie zaostrzyć fazę przesilenia, ale układ cen w kraju i zagranicą nie pozwoliłby wówczas i bez zakazu na szeroki rozwój eksportu. Zresztą wówczas już o nastawieniu jednostronnie „prokonsumenckim" sfer rządzących nie było mowy. Można też było sądzić, że pogląd o wielkim wpływie polityki „prokonsumenckiej" na późniejsze przesilenie nie wyjdzie poza sfery rolnicze, a i tam wkrótce przestanie być modny. Tembardziej czuję się zawstydzony, gdy pogląd, który uważałem już za niemodny nawet wśród rolników, zajaśniał oto świeżo pełnią blasku w ustach b. ministra (nie rolnictwa) przy pełnem uznania milczeniu obecnych kupców i przemysłowców. Rokuje mu to jeszcze długie lata powodzenia.

Drugi stary znajomy, z innej zupełnie dziedziny, także wciąż jeszcze modny, głównie w świecie wielko - przemysłowym, to pogląd, że skoro w kosztach produkcji rolnej na wytwory prywatnego przemysłu przypada zaledwie 15% (pomijam okoliczność, że powyższy stosunek został podany zupełnie dowolnie) tedy zamknięcie „nożyc" cen niewiele dałoby rolnictwu. Wyjaśnić, że zwarcie „nożyc" może być rozumiane bądź jako zbliżenie poziomu cen *wszystkiego*, co rolnik nabywa i *wszystkiego* co sprzedaje, bądź też jako zmniejszenie rozwartości między poziomem ogółu cen regulowanych przez konkurencję i grupy cen utrzymywanych sztucznie wysoko przez monopolistów, że takie zamknięcie nożyc miałoby dla rolnictwa olbrzymie znaczenie pośrednie dzięki przybliżeniu momentu likwidacji kryzysu ogólnego, że wreszcie w owych pozostałych 85% kosztów tkwią również pośrednie ceny towarów zmonopolizowanych, — takie wyjaśnienie ma bardzo małe szanse powodzenia, dopóki silnej grupie interesów zależy na utrzymaniu mody na pogląd pozornie logiczny, a bardzo dogodny, z punktu widzenia obrony istniejącego układu cen.

Mniejwięcej rówieśnikiem obu poprzednich, a może nawet od nich starszym, jest pogląd, że równe traktowanie czterech naszych zbóż głównych wymaga równego premjowania ich wywozu, a nierówna wysokość zwrotów ceł stanowi pokrzywdzenie pewnych zbóż na korzyść innych. Cieszy się on nadal dużem powodzeniem, o czem świadczy wysunięcie go na jednej konferencji z paru stron i to pomimo, że jego bliźniaczy pogląd, o potrzebie równości stawek celnych dla wszystkich zbóż, już naprawdę z mody wyszedł, wobec eksperymentalnego stwierdzenia, że stawka doskonale prohibicyjna dla żyta, jęczmienia i owsa, okazała się w lipcu 1930 r. niewystarczająca dla zatrzymania importu pszenicy. Zdawałoby się, że i bez doświadczeń można się zgodzić, że skoro równe traktowanie musi polegać na utrzymaniu pewnego, uznanego mniej lub więcej dowolnie za normalne, ustosunkowania cen, zarówno zaś stawka celna, jak i premja wywiera różne działanie na ceny poszczególnych zbóż, w zależności od istnienia i wysokości marży importowej albo eksportowej, tedy równe stawki, jak i równe premje stwarzają właśnie nierówne warunki. Tak np. w razie nieurodzaju owsa i braku nadmiernej podaży tego zboża, wyznaczenie, albo niewyznaczenie zwrotu cła w wysokości 4 lub 6 złotych od kwintala wogóle nie wpłynie na jego cenę, nie może też wyrównać rzekomego pokrzywdzenia. Nawet dla zbóż w równej mierze eksportowanych może układ cen światowych stworzyć takie warunki, w których jedno będzie wybitnie uprzywilejowane w stosunku do drugiego, a wówczas dawanie obu równej premji byłoby nonsensem. Dlaczego jęczmień browarniany, którego układ cen jest przejściowo nader niepomyślny, otrzymuje niższą premję niż żyto, tak jakby Państwo chciało wywołać substytucję uprawy jęczmienia przez żyto, tego i ja nie rozumiem ale stąd nie wynika, jakoby w dążeniu do równości wszystkich premij tkwiła odrobina logiki.

Widocznie moda na przesądy trwa dłużej niż na suknie kobiece, skoro i czwarty z usłyszanych na tej konferencji poglądów, już dobre dwa latka sobie liczy. Jest to pogląd, że skutki zwrotu ceł dlatego nie dochodziły początkowo rolników, że nie działała wówczas interwencja zbożowa. Tylko równoczesne stosowanie zwrotów ceł i akcji interwencyjnej może rzekomo zapewnić zupełne wyzyskanie premij przez rolnictwo. Czytałem niedawno podobny pogląd, że akcja premjowania wywozu w Rumunji załamała się, ponieważ nie była połączona z akcją interwencyjną. W tym ostatnim wypadku wyjaśnienie jest znacznie prostsze: premjowanie tak wielkiego eksportu, jak eksport rumuński okazało się zadaniem nad siły dla słabego finansowo państwa. W Polsce rzeczy się tak miały, że kontyngenty premjowane w ciągu zimy 1929/30 r. były przyznawane w rozmiarach mniejszych, niż nadwyżki podaży przeciążające równocześnie rynek. Przyznanie premij na całą nadwyżkę musiałoby i bez interwencji podnieść ceny krajowe prawie o wysokość premij. O ile aparat interwencyjny działa sprawniej, niż handel prywatny, t. zn. ponosi mniejsze koszty handlowe i uzyskuje lepsze ceny zagranicą, wówczas może wyżej płacić, to prawda, ale o tem nie możemy sądzić, nie znając kalkulacji obu stron. O ile natomiast aparat interwencyjny ponosi straty, wówczas wyższa cena jest poprostu wynikiem większych ofiar Skarbu Państwa, które mogłyby się równie skutecznie wyrazić w podniesieniu premij.

Obok starych uznanych szlagierów są i nowości sezonu. Może i niezupełnie nowe, ale w szerszym świecie jeszcze mało popularne. Do takich należy teza, że jeśli na rynku pojawi się zamiast jednego trzydziestu eksporterów pewnego zboża, z tego samego kraju, to zrujnują ceny światowe. Wprawdzie w myśl prawa podaży i popytu cena towaru zależy od ilości tegoż towaru na rynku, a nie od ilości sprzedających, chyba że istnieje możliwość zmonopolizowania podaży. Tej możliwości w światowym handlu zbożowym niema. To też wciąż stojąc na gruncie działania praw ekonomicznych, możnaby utrzymywać, że koncentracja sprzedaży może przynieść zmniejszenie kosztów, może zapewnić danemu krajowi lepsze stanowisko negocjacyjne, że chaos nieodłączny od rozdrobnienia eksportu powoduje nerwowość cen, że może wywołać przejściową zniżkę, której przy koncentracji można uniknąć, ale ostateczny wpływ każdego miljona kwintali rzuconego na rynki światowe będzie niezależny od tego, czy w jednym z krajów wywożących eksport jest zmonopolizowany czy nie. To stwierdzenie nie zmniejszy oczywiście powodzenia przeboju, albowiem powo-

ływanie się na prawa ekonomiczne i w szczególności na prawo podaży i popytu stanowi dziś niewątpliwie mauvais genre, jest wręcz sprzeczne z duchem mody współczesnej, nie posiada żadnej siły sugestywnej. Trzymając się sukni królowej dzisiejszej mody, wciąż jeszcze przybierającej blasku legendy, jakoby w świecie powojennym prawa ekonomiczne nie działały, młody szlagierek może się utrzymać conajmniej przez parę sezonów.

Dzięki konferencji zrozumiałem, że jestem anarchistą. Nie umiem iść z duchem mody. Dobrze jednak jest znać własną słabość i dlatego wołam: konferencje są pożyteczne!

j. p.

KROK NAPRZÓD

W uwadze p. t. „Pierwsze kroki", pomieszczonej w Nr. 11 „Gospodarki Narodowej", wspominaliśmy o dotychczasowej organizacji sieci sprzedaży wyrobów Polskiego Monopolu Tytoniowego. Organizacja ta pozostawiała z handlowego punktu widzenia nader dużo do życzenia, powodując uprzywilejowanie jednych ośrodków kraju kosztem drugich, wysokie koszty handlowe, przewagę czynników poza-gospodarczych nad czynnikami czysto gospodarczemi i t. p.

Nie wracając już do omówionego uprzednio zagadnienia, pragniemy tylko przypomnieć, że wielka a źle rozmieszczona ilość hurtowni tytoniowych, z których każdą posiadała nader szczupłe obroty, przyczyniała się — przy istnieniu niepomiernie dużych rabatów — do podrażania w sposób nieprodukcyjny kosztów handlowych i do zmniejszania rentowności Polskiego Monopolu Tytoniowego. O tem zaś, jak rozumiano aprowizację kraju w artykuły tytoniowe, świadczy np. fakt, że m. stoł. Warszawa posiadało dotychczas 19 hurtowni tytoniowych, podczas gdy w 3 razy mniejszym Poznaniu było ich 28. Po zamierzonej reorganizacji będzie ich tam zaledwie — 2.

Na miejsce wielu zredukowanych hurtowni, które nie odpowiadały swą liczebnością celom gospodarczym, mają być powołane — ale już inaczej rozmieszczone terytorjalnie — nowe hurtownie i półhurtownie. O tem, żeby kasowanie zbędnych hurtowni mogło się odbić ujemnie na konsumcji tytoniu, mowy być nie może, tem więcej, że jednocześnie prowadzone są energiczne prace nad rozbudową detalicznej sieci sprzedaży.

Mając powyższe na uwadze, Dyrekcja Polskiego Monopolu Tytoniowego wydała w ostatnich dniach czerwca b. r. instrukcję o organizacji sieci sprzedaży detalicznej, gdzie po raz pierwszy w Polsce sieć ta została racjonalnie rozłożona. Wielką pomocą po temu okazało się zastosowanie uproszczonych dróg przy uzyskiwaniu zezwoleń na prowadzenie sklepów tytoniowych w miejscowościach, w których te sklepy dotąd nie istniały (a wiemy, że punktów takich jest około 46.000).

Prośby o zezwolenie na otwarcie sklepu tytoniowego nie podlegają — stosownie do wspomnianych zarządzeń — opłatom stemplowym, przyczem prośby te można wnosić tak pisemnie, jak i ustnie. Rozkład sieci sprzedaży detalicznej będą regulowały urzędy skarbowe, mając na oku przedewszystkiem opłacalność sklepów tytoniowych, a zatem np. w miejscowościach, nie posiadających minimum 500 mieszkańców, zezwolenia z reguły udzielane nie będą.

Dalszą ulgą, jaką przewiduje P. M. T., jest postanowienie, że w gminach większych, w których niema odpowiednich lokali (izb) sklepowych, sprzedaż tytoni może się odbywać w zwykłych chatach (budynkach), byleby wyroby tytoniowe były przechowywane w osobnych szafkach lub skrzyniach.

Największą ulgę jednak stanowi zarządzenie Ministerstwa Skarbu, dzięki któremu sprzedaż wyrobów tytoniowych w miejscowościach, gdzie dotychczas sprzedaży sklepowej nie było, nie pociąga za sobą obowiązku wykupna patentu na rok 1932. Co więcej — o ile dochód brutto danego sklepu nie przekroczy w 1932 r. kwoty 360 zł., względnie 30 zł. miesięcznie, sklep będzie i na rok 1933 zwolniony od obowiązku wykupna świadectwa przemysłowego.

Powyższe udogodnienia powinny bezwątpienia wpłynąć na rozszerzenie się sieci sprzedaży detalicznej. Handel detaliczny, dotychczas upośledzony, uzyska, naszem zdaniem, poważną pomoc. Pomoc ta będzie tembardziej wydatna, że jednocześnie Dyrekcja Polskiego Monopolu Tytoniowego zainicjowała utworzenie specjalnej prywatnej instytucji finansowej, którąby udzielała kupcom tytoniowym kretdyu o niskiem oprocentowaniu: trzeba zaś wiedzieć, że dotychczas kupcy tytoniowi płacą do 4% miesięcznie na rynku prywatnym.

Tak więc zarówno hurt, jak i detal, znajdą należytą opiekę ze strony Polskiego Monopolu Tytoniowego.

b. s.

OGRANICZENIA WALUTOWE.

Zaprzestanie sprzedaży banknotów dolarowych przez Bank Polski było dość dużą niespodzianką dla publiczności i w pierwszym momencie zdezorjentowało ją. Ogłoszone prawie równocześnie uchwały Związku Banków nie pozostawiały już żadnej wątpliwości, że chodzi tu o zorganizowaną akcję w kierunku ograniczenia obrotów walutami. Akcja ta jest o tyle oryginalna, że zamierza się osiągnąć cel w ramach istniejących przepisów prawnych, bez stwarzania nowych przepisów.

Należy stwierdzić, że istotnie zakres możliwości w ramach istniejących przepisów jest duży. Jeśli chodzi o Bank Polski, to statut jego postanawia, że Bank może wymieniać banknoty złotowe według swego wyboru: albo na monety złote, albo na sztaby złote, albo też na czeki zagraniczne w walucie wymienialnej na złoto w stosunku do równi monetarnej. Obowiązek wymiany banknotów jest więc fakultatywny i Bank ma swobodę wyboru środka wymiany. Tranzakcje walutowe nie należą do istotnych zadań Banku i normalnie żaden Bank emisyjny nie zajmuje się niemi, pozostawiając te operacje giełdom pieniężnym, bankom i kantorom wymiany. B. P. może więc zaprzestać sprzedaży nietylko banknotów dolarowych, lecz także wszystkich walut wogóle. Jeśli chodzi o banki prywatne — to oczywiście zależy od ich dobrej woli, czy chcą się zajmować tranzakcjami walutowemi, czy nie. Uchwały Związku Banków idą w trzech kierunkach. Banki porozumiały się mianowicie, że: 1) zaprzestaną sprzedaży złota, 2) ograniczą sprzedaż walut i dewiz do ram gospodarczo uzasadnionych, 3) wykonywać będą zlecenia kupna polskich pożyczek zagranicznych tylko za dostarczeniem odpowiedniej ilości walut lub dewiz zagranicznych.

Zarządzenia Banku Polskiego i postanowienia banków prywatnych, do których ostatnio zgłosiły akces mniejsze domy bankowe i kantory wymiany składają się razem na system, któryby możnaby naz-

wać ukrytą reglamentacją obrotów walutowo-dewizowych. Możnaby tak nazwać, gdyby się okazało, że te uchwały, które zresztą świadczą chlubnie o wyrobieniu społecznem kierowniczych sfer bankowości prywatnej, miały znaczenie nie tylko platoniczne. Jest to piękny gest — zwłaszcza ze strony domów bankowych i kantorów wymiany — pozbawiać się w imię interesu społecznego — bardzo lukratywnych i dziś może najpewniejszych interesów bankowych.

Sytuacja, jaka wywołała konieczność ograniczenia obrotów walutowych jest dostatecznie znana, aby na tem miejscu omawiać ją bliżej. Z jednej strony obserwujemy powolny, lecz stały ubytek zapasów kruszczowo - dewizowych z Banku Polskiego. Ubytek ten wywołuje zupełnie niepożądane zjawisko kompresji kredytów, nieuzasadnionej względami obrotu gospodarczego. Z drugiej strony przejawiają się (nietylko w Polsce zresztą) silne tendencje tezauryzacyjne. O ile do niedawna banknot dolarowy był w Polsce jedynym niemal środkiem tezaurazycji, o tyle dziś podkopywanie zaufania do dolara sprawiło to, że przerzucono się z banknotów dolarowych na złote monety dolarowe i monety złote wogóle. Wkłady dolarowe w bankach topnieją; nie są zamieniane na wkłady złotowe, ani nawet na złote w złocie, lecz po największej części są wycofywane dla celów terauryzacyjnych. Sumę przywiezionego w ostatnich miesiącach do Polski złota z zagranicy w celach tezauryzacyjnych szacują na 40 milj. zł. Zwalczanie tych objawów jest słuszne i pożądane. Nasuwa się jednak pytanie, czy zastosowane środki przyniosą pod tym względem poprawę.

Jeśli chodzi o zapasy kruszczowo - walutowe Banku Polskiego, to trudno przypuścić, aby wymienione ograniczenia mogły zahamować odpływ ich. Miesięczny ubytek walut i dewiz z Banku równa się w ostatnich miesiącach mniej więcej kwocie miesięcznych świadczeń Skarbu Państwa na rzecz zagranicy z tytułu obsługi pożyczek. Jest to więc pozycja „sztywna“, która kompresji nie ulegnie. Byłoby zaś naiwnością przypuszczać, że jakiekolwiek ograniczenia walutowe przyniosą wzrost zapasów. Pod tym względem przykład tych państw, które wprowadziły reglamentację dewizową jest pouczający. Przypominamy na tem miejscu artykuł dr. St. Buczkowskiego w n-rze 9 Gospodarki Narodowej p. t. „Między Scyllą a Charybdą“ w którym autor kreśląc obraz naszej sytuacji walutowej stawia tezę, że wzrastające utrudnienia wywozowe wywołują niebezpieczeństwo zwiększonego nacisku walutowego na Bank Polski; w konkluzji autor dowodzi, że jeśli Polska nie otrzyma odpowiednich kredytów z zagranicy, to powinna wprowadzić ograniczenia dewizowe, aby powstrzymać dalszy odpływ walut i dalszą redukcję kredytów. Jaką drogą ograniczyć ubytek dewiz, to kwestja, której autor nie rozstrzyga. Jest tu możliwa szeroka skala środków — od takich, jakie obecnie u nas zastosowano aż do zawieszenia wymienialności banknotów na jakiś czas. Obecnie, kiedy zwłaszcza saldo dodatnie naszego bilansu handlowego skurczyło się do małoznaczącej kwoty — i z tej strony płynące nadzieje na dopływ walut zniknęły, musimy niestety uważać zaprowadzone ograniczenia walutowe u nas za półśrodek, którego pozytywne skutki będą w najlepszym razie zbyt małe, aby mogły zaważyć na naszej sytuacji walutowej.

Pozostaje więc tylko oddziaływanie ograniczeń walutowych na tendencje tezauryzacyjne. Byłoby również naiwnością przypuszczać, że tą drogą zostanie zahamowany pęd do tezauryzacji. W najlepszym razie ograniczenia walutowe mogą oddziałać na kierunek tezauryzacji. Przy ścisłem wykonywaniu zarządzeń możnaby rzeczywiście osiągnąć to, że publiczność zaprzestałaby tezauryzacji kapitałów w złocie i dolarach. Niepewne losy dolara mogą przyprawić posiadaczy banknotów dolarowych o straty. Z tego punktu widzenia rzeczy traktując można uznać zarządzenia Banku Polskiego za bardzo celowe. Nawiasowo wspominamy, że w ostatnich dniach wierzyciele zagraniczni starają się na gwałt drogą układów z dłużnikami zamienić wierzytelności dolarowe na wierzytelności w innej walucie. Na tle ogólnej ucieczki od dolara staje się zrozumiałą troska Banku Polskiego o własne rezerwy walutowe i o kieszenie ciułaczy. Chwila obecna bardzo sprzyja ostatecznej likwidacji t. zw. problemu dolarowego w Polsce i usunięciu faktycznej dwuwalutowości. W rękach Banku Polskiego pozostaje cały arsenał środków i mamy nadzieje, że Bank na tem jednem — naszem zdaniem niedostatecznem — zarządzeniu nie poprzestanie. Cały wysiłek Banku i władz państwowych powinien zmierzać do tego, aby ucieczkę od dolara skierować na ucieczkę do wartości rzeczowych, a nie do złota. Byłoby to maximum tego, co przy obecnych nastrojach można osiągnąć.

W chwili, gdy słowa te piszemy, upływa prawie miesiąc od czasu wydania wspomnianych ograniczeń walutowych. Jak dotychczas nie obserwujemy żadnych skutków tych ograniczeń; publiczność jakgdyby zapomniała o ich istnieniu: większych zmian w obrocie walutowym nie widać, a ubytek walut w Banku Polskim nawet przybrał na sile. Z tych objawów wynikałoby, że dotychczasowe środki walki z tezauryzacją nie są skutecznym środkiem na topnienie zapasów kruszcowo walutowych w naszej instytucji emisyjnej.

Fr.

WYPUŚCIĆ ZŁOTO!

Otrzymujemy z prośbą o zamieszczenie następujące uwagi:

Kilkakrotnie na łamach „Gospodarki Narodowej“ poruszana była sprawa ciułaczy złota, zakrawająca na groteskę. W ciągu pięciu miesięcy b. r. publiczność polska skupiła takie ilości złota, że zapas ich w handlu trzeba było uzupełnić sprowadzeniem z zagranicy metalu na równowartość 66.134.000 złotych. Pokrycie na te zakupy wyszło z kraju również w postaci metali szlachetnych w równowartości nawet większej, bo zł. 81.993.000, Bank Polski zaś sprzedawał w międzyczasie ponad 45 miljonów.

Po jakiej cenie kupowano, a po jakiej sprzedawano? Publiczność kupowała dolary z ażiem 1,5 do 3% z górą, ruble zaś przepłacała o 2.5 do 12.%: Bank Polski mógł sprzedać poza krajem jedynie w granicach punktów złotych.

Zakładając, że połowa metali sprowadzana była w rublach, a ¼ w dolarach złotych, przepłacanych o 7, wzgl. o 2%, dochodzimy do sumy ponad dwa i pół miljona złotych obciążenia bilansu płatniczego Polski, za które żadna, ale to literalnie żadna równowartość nie wpłynęła do kraju. Dlaczego?

Dlatego, bo nikt nie miał odwagi cywilnej skierować prąd istniejący z żywiołową siłą we właściwe koryto.

Nie tu miejsce wskazywać, czy ten prąd był uzasadniony, czy przebijała w nim roztropność obywateli, czy troska o los własny, czy ogółu. Stwierdzamy, że ten pęd istniał i istnieje nadal. Ciułacze, poparzeni na wielorakich dewaluacjach, chcą mieć przekonanie, że ich substancja nie ucierpi, a to przekonanie może im dać tylko namacalne posiadanie złota. Jakiego?

Posiadać można tylko to, co jest dostępne na rynku. Polskie monety złote nowego parytetu dla zwykłego śmiertelnika istnieją tylko w „Dzienniku Ustaw R. P." (Nr. 97 poz. 855 z 1927 r.); niektórzy, obdarzeni żywszą fantazją, widzą je oczyma duszy, ale to nie wystarcza dla zaspokojenia potrzeb tezauryzacji Kupuje publiczność polska ruble, bo je zna, częściowo dolary, bo zna je również. Mało osób kupuje austryjackie czterodukatówki, ale i one znajdują nabywców. Czyby nie należało natomiast, skoro nie istnieje rynek na dwudziestopięcio-, pięćdziesięcio- i stuzłotówki, skorzystać z owczego pędu i rynek ten powołać póki czas do życia?..

Dwojaki bywa stosunek państwa do nabywców monet. Albo, jak w Anglji po reformie w XVIII w. mennica wydaje bezpłatnie tę samą ilość złota w monetach, jaką nabywca przyniósł w sztabach, a koszty bicia ponosi państwo, albo też, za koszty bicia etc. płaci nabywca ażio, które za Ludwika XV wynosiło we Francji około 8%, w Rzp. Austryjackiej w 1928 r. 2%. Tego rodzaju ażio na polskie monety złote, zależne ewentl. od sposobu pokrycia (złotem, dewizami, czy biletami Banku Polskiego), nie odstraszyłoby namiętnych ciułaczy. Ich zapobiegliwość mogłaby osłabnąć tylko wskutek deflacyjnego działania tezauryzacji, oraz wskutek przekonania, że każdego dnia w Banku Polskim może on po określonej cenie nabyć monety, których wartość w złocie jest ściśle określona i zagwarantowana przez Państwo Polskie, a łatwiejsza do przeliczenia, aniżeli w stosunku do 8.88 (dolar) czy 4.61 (rubel). Jeśli każdego dnia mogę to złoto kupić, to nie mam potrzeby pozbywać się dziś potrzebnych mi środków obrotowych.

Górna granica skupu złota przez ciułaczy dana jest w deflacyjnym charakterze samej operacji.

s.

„WALKA O TANI POTAS"[1]).

„Walka o tani potas", to słuszne ze wszech miar hasło, rzucone zostało przed 2-ma laty bynajmniej nie przez konsumentów potasu — rolników, ale przez czynniki miarodajne w produkcji krajowych nawozów potasowych. W interesującym artykule pod powyższym tytułem, oraz w szeregu innych enuncjacyj, przedstawiono walkę rozwijającej się twórczości krajowej z potężnym niemieckim Kalisyndykatem, dzierżącym wespół z producentami Alzacji monopol dostaw światowych. Autor artykułu przedstawił politykę niemiecką, obniżającą ceny swych soli dla rynku polskiego do poziomu wewnętrznych cen niemieckich, byle zabić konkurenta, poczem oczywiście podyktowanoby nam ceny, jakie dziś płacić muszą kraje pozbawione potasu, a więc o dobre 100% wyższe od niemieckich W tem położeniu walka o utrzymanie i rozwój krajowej produkcji jest walką o tani potas na przyszłość. Społeczeństwo to zrozumiało, rozwój produkcji krajowej spotyka się wśród rolników z niemałą sympatją a zmniejszenie spożycia (no i stawki celne) przyczyniło się do wyparcia niemal zupełnego soli strassfurckich z naszego rynku. Społeczeństwo śledzi jednak politykę naszego producenta-monopolisty z coraz głębszym niepokojem. Obawiać się można poważnie, że czynniki kierownicze „Tespu"[2]) zatraciły z oczu istotny cel prowadzonej walki — tani potas dla rolnictwa polskiego, natomiast u szczytu hierachji swych celów postawiły rozwój przedsiębiorstwa. Byłoby wszystko w porządku, gdyby: 1) przedsiębiorstwo było oparte na kapitale prywatnym i pozbawione opieki państwowej, 2) gdyby przynajmniej ten drugi cel zrealizowano sprawnie. Gdy jednak gospodarzem Spółki jest bank państwowy, a Państwo zapewnia jej daleko idącą pomoc, przedewszystkiem zaś stanowisko monopolowe, wówczas na pierwszy plan występuje interes społeczny, a z tego punktu widzenia niewątpliwie nosem jest produkcja rolna, kopalnie zaś nawozów — tylko tabakierą. Jeśli wysunąłem wątpliwość, czy także postulat rozwoju przedsiębiorstwa jest sprawnie realizowany, to nie z powodu tego czy innego niepowodzenia, (np. w akcji koncentrowania nawozów) — niepowodzenia i błędy są nieuniknione wszędzie — ale dlatego, że dzisiejsza polityka cen nawozów potasowych jest krótkowzroczna i szkodliwa także z punktu widzenia rozwoju przedsiębiorstwa.

Ceny nawozów potasowych w okresie ostrej akcji konkurencyjnej z Kalisyndykatem, a zwłaszcza w okresie spadku wartości waluty polskiej (1925/26) były istotnie niskie, a stopniowe ich podniesienie w paru następnych latach pomyślnego dla produkcji roślinnej układu cen może być usprawiedliwione dążeniem do szybkiej rozbudowy produkcji z zainwestowanych zysków. Rozbudowa wydobycia choćby ponad potrzeby rynku krajowego umożliwiłaby później tem większe obniżenie cen krajowych, ponieważ eksport nawozów potasowych, dzięki istnieniu światowego monopolu, jest jedną z rzadkich gałęzi eksportu rentownego. Gdy jednak od żniw 1928 r. ceny płodów rolnych się załamały, położenie finansowe rolnictwa stało się groźne, a ceny nawozów potasowych były już prawie o 50% wyższe niż w jesieni 1926 r. (licząc w stałej walucie), to już raczej należało naśladować państwowych wytwórców nawozów azotowych, którzy mimo podrożenia konkurenta — saletry chilijskiej obniżyli ceny niektórych nawozów (zwłaszcza nitrofosu), niż krajowych i zagranicznych dostawców nawozów fosforowych, którzy uznali moment za odpowiedni dla podniesienia cen. Niestety, producenci podnieśli jeszcze ceny tak kainitu, jak i soli potasowych, podnieśli je jeszcze silniej na sezon jesienny 1929 r., osiągając poziom dla kainitu o 87% wyższy niż w jesieni 1926 r., dla soli potasowych o 120% wyższy niż w sezonie wiosennym 1925/26. Takie wyśrubowanie cen nie mogłoby być usprawiedliwione w okresie najlepszej konjunktury, ale jest zgoła zdumiewające, że dopuszczono do niego w okresie skrajnego wyczerpania rolnictwa, utraty połowy wartości przez najważniejsze płody rolne i ponoszenia przez Państwo ciężkich ofiar dla uchronienia gospodarstw wiejskich od ruiny. Dążenie do zbierania w takim okresie zysków kosztem rolnictwa, choćby najproduktywniej inwestowanych, byłoby rażącem niezrozumieniem powagi położenia. Pozostaje jedyny argument — wzrost kosztów stałych na jednostkę produktu, spowodo-

---

[1]) Gen. bryg. inż. Zygmunt Platowski, prezes zarządu S. A. E. S. P.: „Walka o tani potas" w „Gazecie Rolniczej" Nr. 39 z 1930 r.

[2]) Popularna nazwa Spółki Akcyjnej Eksploatacji Soli Potasowych.

wany kurczeniem się zbytu, ale ponieważ wysokie ceny pogarszają tu położenie, miast je poprawiać, komprymują bowiem spożycie w sposób jaskrawy. Nie należy się łudzić, że dzięki monopolowi można bezkarnie dyktować dowolne ceny. Nie mówiąc już o tem, że punkt Cournot'a niewątpliwie w okresie przesileń doznaje silnego obniżenia, warto pamiętać, że monopol S. A. Eksploatacji Soli Potasowych nie jest zupełny, nawet po zabezpieczeniu się przed importem. Przyrodzone prawo minimum stanowi wprawdzie, że decydujący o wysokości plonu składnik pokarmowy, którego najbardziej roślinom braknie, nie może być zastąpiony przez żaden inny. Pozornie więc substytucja jest możliwa tylko między różnemi nawozami dostarczającemi tego samego składnika pokarmowego. Jednakże niepodobna się łudzić, jakoby wszyscy rolnicy dobrze rozumieli prawo minimum, a ponadto niestosunkowo wysoka cena nawozów jednej grupy pozwala i z uszanowaniem tego prawa wydać tą samą niedostateczną ilość siły nabywczej na nawozy tańsze. Może się bowiem rolnikowi już nie opłacać dawanie kainitu na łąki i pastwiska, lub soli potasowych pod łubin albo ziemniaki, a równocześnie może się jeszcze opłacić dawka azotniaku pod owies. Zależy to od wielu warunków indywidualnych, ale statystyka wykazuje bardzo wyraźny wpływ cen na dynamikę spożycia poszczególnych grup nawozowych. Już w sezonie jesiennym 1929 roku zbyt nawozów potasowych maleje o 11 — 12%, zbyt azotowych utrzymuje się, a nawet nieco wzrasta. W następnych sezonach spadek zużycia nawozów staje się ogólny, ale w grupie potasowej, dzięki utrzymanym cenom (jedyną obniżką było przejęcie przez Spółkę kosztów transportu koleją, oraz 5% bonifikata na wiosnę 1930 r., następnie cofnięta) spadek jest wiele gwałtowniejszy niż w azotowej, gdzie ceny starano się w miarę możności stopniowo obniżać, niż w fosforowej, gdzie konkurencja doprowadziła do ostrego załamania się cen. Przyjmując spożycie nawozów w sezonie jesiennym 1928 r. za 100 otrzymamy dla sezonu jesiennego 1931 r. następujące wskaźniki rozmiarów zbytu krajowego: kwas fosforowy 39%, azot 35%, tlenek potasu 23.4%. Stosunek wagowy sprzedanego w Polsce w 1924/25 r. czystego azotu i kwasu fosforowego razem do wagi sprzedanego tlenku potasu wyniósł 110 : 100, w 1930/31 r. stosunek ten zmienił się na 263 : 100, a w roku następnym, według prowizorycznych danych, uległ dalszemu zwiększeniu. Utrzymywanie w tych warunkach, że rozmiary zbytu nie zależą od układu cen może być jedynie wynikiem uporu, bądź ślepoty.

W położeniu S. A. Eksploatacji Soli Potasowych zaszła ostatnio zmiana wskutek przystąpienia do porozumienia z Kalisyndykatem i kopalniami alzackiemi. Nie wydaje się, aby stanowisko małego outsider'a korzystającego z wysokich cen wyznaczanych przez monopolistę było do pogardzenia, ale oczywiście korzystna umowa może dać nadto większą stałość stosunków. Niema powodu wątpić, że umowy niekorzystnej w tych warunkach by nie zawierano, zatem wolno przypuszczać, że stanowisko finansowe Spółki doznało poprawy. I z tej więc strony istnieje pełna możliwość obniżenia cen wewnętrznych.

Porównywanie cen potasu w różnych krajach nastręcza duże trudności, z powodu różnej koncentracji nawozów, których ceny są publikowane. W każdym razie to porównanie nie uprawnia do twierdzenia, że nasze ceny nie mogą być obniżone. Według danych Międzynarodowego Instytutu Rolnictwa, kilogram czystego tlenku potasu kosztował w końcu 1931 r. w groszach: w Szwecji 92,6, w Danji 77,6, w Anglji 68,5, w Stanach Zjedn. 62,0, w Holandji 55,2, w Polsce 55,0, w Czechosłowacji 38,0, w Niemczech 32,4, we Francji 30,8. Ceny dla Francji, Anglji i Czechosłowacji dotyczą nawozów o koncentracji 12 — 14% tlenku potasu, w Danji 40%, w pozostałych krajach 18 — 25%. Jak widać, są kraje, skazane wyłącznie na import, płacące ceny do 200% (Szwecja) wyższe od cen u głównych producentów, ale już z krajów importujących niektóre płacą niewiele wyżej niż rolnik polski, a Czesi płacą nawet taniej i to pomimo, albo właśnie dlatego, że do tego kraju kieruje się nasz eksport. W każdym razie rzut oka na powyższe cyfry kazałby zaliczyć Polskę do krajów importujących, pozbawionych własnej produkcji, jakgdyby spełniła się ponura ewentualność, której się obawiał autor artykułu „Walka o tani potas". Należy też pamiętać, że kraje o wysokich cenach potasu są nieporównanie od Polski żyźniejsze (Stany Zjedn.), bądź też utrzymują ceny płodów rolnych na daleko wyższym poziomie.

Na gorzką ironję zakrawa fakt, że o tani potas musi dziś rolnik walczyć z autorem artykułu „Walka o tani potas".

J. Poniatowski.

* * *

W ratowaniu olbrzymiego koncernu Kreugera rząd szwedzki, jak wiadomo, bierze bardzo czynny udział. Grupka maklerów na giełdzie w Sztokholmie dyskutuje na temat przyczyn, które kierowały rządem, interwenjującym w sprawy koncernu.

Jeden z nich, będący w zasadzie przeciwnikiem mieszania się państwa do przedsiębiorstw prywatnych, zapytuje:

— Ależ, ostatecznie, poco tyle wysiłków dla uratowania zgniłego przedsiębiorstwa?

Na to drugi makler, uśmiecha się i odpowiada:

— Chce pan zrozumieć motywy postępowania rządu, to opowiem panu następującą historyjkę: pewnego dnia hrabinie V., znanej powszechnie z dobroczynności, przedstawia się jegomość, ubrany starannie i prosi ją o pomoc dla biednej matki sześciorga drobnych dzieci, której z powodu niezapłacenia czynszu niecierpliwy kamienicznik grozi eksmisją z mieszkania. Proszący tak płomiennie przemawiał do dobrego serca hrabiny, że ją swem opowiadaniem rozczulił.

— A zatem zgoda — rzekła. Proszę mi dać adres tej biednej kobiety. Poślę jej pieniądze przez mego lokaja.

— Niech się pani nie fatyguje — odparł tamten uprzejmie. Byłoby najlepiej, gdyby pani wystawiła czek na moje nazwisko... przecież to ja jestem tym kamienicznikiem.

ANDRZEJ FALK

WĄTPLIWOŚCI I OBAWY

Zarówno nieskrępowanie, jak i dobrowolne ograniczanie rozrostu ludności powodują daleko idące skutki gospodarcze, polityczne i społeczne; od oceny tych skutków zależy ustosunkowanie się ekonomisty do tych lub innych haseł współczesnej polityki ludnościowej.

Obawy Malthusa, że ludzkość wzrastać będzie zbyt szybko w porównaniu ze wzrostem środków do życia, okazały się płonne. Nowoczesna technika zadała im kłam, powodując, że nawet w okresie wielkiej wojny problem wyżywienia ludności nie posiada tak ostrych cech, jak sto lat temu.
A jednak ludność szeregu państw głoduje. Coprawda nie dlatego, że niema co jeść, lecz poniekąd dlatego, że właśnie jedzenia jest wbród. Odsuwając paradoks na bok, powiemy, że niedowład spożycia wynika ze złego podziału dochodu społecznego i z naruszenia względnej równowagi poszczególnych elementów procesów gospodarczych. Głodni są bezrobotni, t. zn. ci, dla których nie można znaleść pracy, a za pracę trzeba — zapłacić.
Pomimo to nasunąć się musi pytanie, czy współwinnym za głód i nędzę nie jest przeludnienie. Czy innemi słowy bezrobocie nie wynika również z przeludnienia, z nadmiaru rąk roboczych, których zatrudnić się nie da nawet w razie powrotu pomyślnego okresu konjunktury?
Nie są to pytania, lecz raczej wątpliwości. Aby je rozproszyć, należy wziąć pod uwagę szereg momentów, wchodzących w skład polityki demograficznej, przed którą raz po raz staje dylemat nieomal hamletowski: dążyć do ograniczania przyrostu naturalnego czy też dziedzinę tę pozostawić jej swobodnemu rozwojowi.?
Obserwacje ekonomistów i socjologów zdają się stwierdzać, że liczebność potomstwa zależy od poziomu kultury materjalnej danego narodu. Przytacza się tutaj zwykle Francję, Anglję, Stany Zjednoczone, aby wykazać, że w krajach tych. przyrost naturalny staje się coraz to mniejszy, będąc wogóle przyrostem względnie niewielkim.
Argument ten wyjaśnia dużo, ale jeszcze nie wszystko. Okazuje się bowiem, że po wielkiej wojnie przyrost ludności zamiast wzrastać (dla powetowania strat wojennych) — maleje. I to nietylko w 3 wymienionych krajach, lecz również w Niemczech. a nawet we Włoszech i to pomimo energicznej kontrakcji ze strony państwa. Przy obecnej tendencji spadku urodzin uczeni niemieccy prorokują, że ludność Rzeszy już w latach 1940 — 1945 osiągnie szczytowy punkt rozwoju ilościowego, poczem zacznie się — degresja, ubytek ilości mieszkańców.
Ograniczenie przyrostu naturalnego stało się zatem przejawem świadomej woli zbiorowej. W książce swej „Przyszłość gospodarcza świata" Roman Rybarski dochodzi z tego powodu do wniosku, że „produkcja" dzieci po wojnie się „zracjonalizowała" i oparta została o — kalkulację. Kalkulują dzisiaj już nie poszczególne rodziny klas zamożnych, lecz nieomal — wszyscy. Rodzice dobrowolnie i w pełni zrozumienia tego, co robią, ograniczają liczbę urodzin, aby dać dzieciom swym lepszą przyszłość, aby nie obniżać swego i ich „standart of life" etc. Czy jednak właściwe jest mówić o kalkulacji? Czy nie lepiej termin ten, używany zapewne celem zdyskredytowania w oczach społeczeństwa polskiego haseł neo - maltuzjanizmu, zastąpić pojęciem: wola? A skoro wchodzi tutaj moment woli — świadomej i dobrowolnej — to czyż można twierdzić, że jest ona czynnikiem gorszym od tradycji lub że sprzeciwia się religji, opierającej się m. in. na pierwiastku własnej nieprzymuszonej woli?
Mówiąc i pisząc w obronie nieskrępowanego rozrostu ludności, publicyści nasi dowodzą, że zasadniczym motywem ograniczania liczby potomstwa jest właściwa klasom zamożnym chęć użycia. Stąd — twierdzą oni — spadek przyrostu naturalnego ma miejsce głównie w okresach wysokiej konjunktury. Jednakowoż ci sami nieomal pisarze konstatują, że i w okresie przesileń gospodarczych zachodzi zjawisko kurczenia się liczby urodzin. I jedno i drugie jest zrozumiałe, jedno drugiego nie wyklucza — ale to świadczy o istnieniu głębszych, aniżeli poziom kulturalny czy przebieg konjunktury, motywów regulacji urodzeń w skali, rzecz prosta, ogólno - społecznej czy ogólno - narodowej.
Nasi i obcy pisarze, zajmujący się omawianem zagadnieniem, skłonni są niekiedy dopatrywać się samych ujemnych skutków zahamowania przyrostu naturalnego. Widzą oni w perspektywie i wstrzymanie postępu produkcji rolniczej oraz ruchu budowlanego i wzrost ciężaru długów na 1 mieszkańca i degenerację twórczości, ekspansji etc. narodu lub jego poszczególnych warstw i wzrost kosztów produkcji z powodu zmniejszenia podaży rąk roboczych, a tem samem wzrost bezrobocia — i t. d. Obawy te i proroctwa, wyliczone exempli modo, postarajmy się wyjaśnić w podanej kolejności.
Argument, że wskutek zahamowania przyrostu naturalnego ucierpi postęp produkcji rolniczej, a nawet tej ostatniej grozi cofnięcie się, gdyż o popycie na artykuły rolne decydują t. zw. szerokie masy i to ludności najuboższej, a nie klasy zamożne,—nie jest pozbawiony racji. Jednakże mieć należy na względzie, iż konsumcja ludności najuboższej na jednostkę jest w krajach typu przeludnionego tak niska, że globalna konsumcja tej ludności nie może dorównać spożyciu mniejszej liczebnie, lecz jednostkowo lepiej odżywionej ludności państw „zdegenerowanych". Świadczy o tem również produkcja rolnicza tych państw, gdzie z hektara otrzymuje się 2 razy tyle, co w krajach, gdzie przyrost naturalny przekracza 1% per anno. Uboczny argument o wstrzymaniu ruchu budowlanego, gdyż niema dla kogo budować, jest w Polsce nieżyciowy z dwuch względów: primo dlatego, że ubytek starych budowli i tendencja posiadania w miarę wzrostu dobrobytu coraz to lepszych i większych mieszkań są zjawiskami bezspornemi, secundo zaś dlatego, że w kraju zniszczonym, gdzie budownictwo mieszkaniowe jest mocno spóźnione, niema mowy na wiele dziesiątków lat o zahamowaniu tegoż budownictwa z przyczyn jedynie demograficznych.
Drugiemu argumentowi, że przy spadku przyrostu naturalnego lub zgoła przy zmniejszaniu się liczby ludności (w to ostatnie trudno dzisiaj uwierzyć) wzrasta ciężar długów na jednostkę, argumentowi matematycznie słusznemu, należy przeciwstawić

fakt, że wszakże w takim wypadku wzrasta i majątek i dochód społeczny, przeliczony na jednostkę. A czyż nie spadną wówczas nakłady ludności, zarobkowo czynnej, na dzieci i młodzież, „kapitał przyszłości", jak się wyrażają ekonomiści? Czyż nie wzmoże się kapitalizacja i na głowę ludności i w sumach ogólnych? Są zaś tacy pisarze, którzy podświadomie obawiają się „rozpowszechnienia się ducha rentjerstwa" (Rybarski op. cit. str. 180), jako niebezpieczeństwa, szczególniej groźnego dla Polski, w której tradycje staro - szlacheckie zdają się pokutować po dziś dzień.

Argument trzeci, że wynikiem zmniejszenia się przyrostu naturalnego jest degeneracja i osłabienie twórczości, ekspansji, przedsiębiorczości i t. p., nie jest argumentem dostatecznie uzasadnionym. Powoływanie się na Francję jest niebezpieczne, gdyż kraj ten — jak tego dowiodła wygrana wojna i czasy obecne — bynajmniej nie uległ rozkładowi, który mu przepowiadano. Tak samo niezbyt przekonywującem jest powoływanie się na te kraje, w których niejako symbolem stała się „mała rodzina", ów przykład „ducha rentjerstwa", jak chcą jedni, lub przykład „użycia", jak chcą drudzy (a niejednokrotnie i jedni i drudzy). „Mała rodzina może być nawet mocną rodziną" — pisze R. Rybarski (op. cit. str. 175), ale się potem wycofuje z tego stanowiska, aczkolwiek nie jest w stanie udowodnić, że z punktu widzenia ogólno - społecznego i narodowego duża rodzina jest czynnikiem szczególnie dodatnim. Czy dajmy na to, w Polsce, gdzie liczące 5, 6 lub 7 osób rodziny nie należą bynajmniej do wyjątku (na 1 gospodarstwo domowe przypada zgórą 5 osób), można zaobserwować jakąś specjalną przedsiębiorczość, inicjatywę, niechęć do oglądania się na pomoc państwa i t. p.?

Pozostaje wreszcie argument o wzroście kosztów produkcji, a tem samem bezrobocia w krajach, gdzie przyrost ludności dawał premję eksportową. Argument to słaby, gdyż nie bierze on pod uwagę faktu, że konkurencyjność zależy więcej od przewagi kapitałowej i technicznej, aniżeli od obfitości czyli taniości sił roboczych. Sporadyczne wyjątki w odniesieniu do niektórych towarów potwierdzają raczej tę regułę; zresztą w takiej np. Anglji olbrzymia rezerwowa armja bezrobotnych nie działa zniżkowo na koszty produkcji węgla.

Należałoby jeszcze powrócić do argumentu trzeciego, który zahacza o — historjozofję. Cytowany wyżej prof. Rybarski powołuje się na przykład starożytnej Grecji, która upadła dlatego, że w dziedzinie przyrostu naturalnego ludności wzięły górę czynniki ujemne, zniżkowe. Upadek Grecji nie wynika, naszem zdaniem, stąd, że Grecy nie chcieli mieć dzieci, lecz raczej dlatego, że „oddawali się lenistwu, tchórzostwu, rozpuście"... (op. cit. str. 184). „Zdrowe narody — pisze Seeck (cytowany u Rybarskiego str. 185) — mnożą się szybko w niezmierzony sposób, gdy przestrzeń na to pozwala". Uwaga najzupełniej słuszna w odniesieniu tak do starożytnych Greków, jak i do wielu współcześnie żyjących narodów. Seeck jednak kontynuuje: „gdy w narodzie uczucie jego upadku staje się żywe, to wtedy budzi się w nim dziwny pęd do samozniszczenia". Następujące bezpośrednio po pierwszem, zdanie to nie pozostaje z niem w żadnym logicznym związku. „Samozniszczenie" czyli spadek przyrostu naturalnego jest wtórnym objawem wyczerpania się energji narodowej, zaniechania ekspansji, chociażby „przestrzeń" nie stała na przeszkodzie.

Czy istnieją poważne przesłanki do obaw, że ludzkości, jej przodującym narodem, wreszcie — Polsce grożą niebezpieczeństwa z powodu zahamowania przyrostu naturalnego lub zmniejszenia jego tempa. Prof. Rybarski przypuszcza, że „stabilizacja ludności niewątpliwie połączona będzie z osłabieniem tempa gospodarczego rozwoju", aczkolwiek z drugiej strony „nie wynika z tego, by się miały przerwać postępy techniczne" (op. cit. str. 186). Autor wzmacnia swe obawy argumentem, że wówczas „ograniczona będzie w niektórych dziedzinach możność stosowania nowych wynalazków" tamże. Jeśli tylko tyle — to niema się czem martwić!..

Natomiast brak chociażby względnej równowagi pomiędzy przyrostem ludności a przyrostem dóbr materjalnych jest w Polsce brakiem istotnym, strukturalnie nader ważnym. „Najpoważniejszem zagadnieniem jest zatrudnienie wzrastającej ludności wewnątrz granic Polski" — konkluduje prof. Rybarski (op. cit. str. 187), a między wierszami daje do zrozumienia, że przed Polską, która ma tak znaczny przyrost naturalny, otwierają się możliwości szerszej ekspansji (jakiej? dokąd?). Nie jesteśmy jednak sami w Europie czy na świecie. Ciasno jest i innym narodom. Czy tą drogą daleko zajdziemy?..

Powrót do równowagi gospodarczej świata i poszczególnych krajów — o ile jest możliwy — powinien nastąpić z dwuch stron: i od strony towaru i kapitału i od strony materjału ludzkiego. Wyrażając się oględniej, powiemy: procesowi powrotu „prosperity" towarowo - kapitałowej nie może towarzyszyć ustawiczna „prosperity" przyrostu naturalnego. A conajmniej ta druga nie może przeciwdziałać tej pierwszej.

NOTATKI

KSIĘGA WIN.

Leży przedemną „Księga pamiątkowa półwiekowej działalności Powiatowej Komunalnej Kasy Oszczędności w Krakowie 1882 — 1932". Ten jubileuszowy tom sprawozdawczy jest jednak dla mnie czemś więcej, aniżeli wydawnictwem lokalnem; jest on cennym i wymownym przyczynkiem do historji naszego rozwoju gospodarczego w ostatnich lat dziesiątkach i szczególnie charakterystyczną ilustracją skutków inflacji markowej. Jest to jej bezsprzecznie „księga win".

Jak głęboko w rdzeń polskiej kapitalizacji sięgnęła inflacja, świadczy tabelka ze str. 62, wykazująca rok po roku przebieg ruchu wkładek oszczędnościowych w K. K. O. powiatu krakowskiego. Od r. 1883 (data założenia Kasy) trwa aż do wybuchu wielkiej wojny ciągły, nieprzerwany dopływ wkładów. W 1900 r. Kasa ma ich 24.5 milj. obecnych złotych, w 1913 r. — 43,2 milj. zł. Lekkie załamania następują tylko dwukrotnie: aneksja Bośni i Hercegowiny obniża stan wkładów o 0.3% (1907 r.), wojna bałkańska zaś nawet o 7% (1912 r.). Natomiast pierwsze półrocze wojny nie powoduje w zasadzie żadnych zmian: ludność nie daje się ogarnąć panice i tylko 0,7% (w walucie nominalnej) stanu z 1. I. 1914 r.

pada ofiarą słabych nerwów czy pośrednich skutków wojny.

Zato okres waluty markowej przynosi kompletny pogrom. Rok 1923 kończy się sumą 4.272 zł. na rachunku wkładów; jest to 0.01% stanu z ostatniego roku przed wybuchem wojny. Reforma walutowa ożywia kapitalizację: wkłady, zrazu powoli, od 1927 r. rosną co raz to szybciej, aż wreszcie w 1931 r. dochodzą do 18,8 milj. zł. Stanowi to zaledwie 42% optimum, osiągniętego przez Kasę w 1911 r. (45 milj. zł.); taki poziom, jak z końcem ub. r., posiadała Kasa już w r. 1896, a więc przed 35 laty. To chyba przemawia najdobitniej.

Jeszcze ciekawszą jest tabelka ze str. 64. Mówi ona że ilość książeczek oszczędnościowych jest teraz nieomal tak wielka, jak w czasie wojny (26.372 w 1931 r. wobec 27.557 w 1917 r.), a nawet większa, niż w 1913 r. (19,745). A zatem przeciętna wkładka na 1 książeczkę musiała katastrofalnie zmaleć. Istotnie — w 1931 r. wynosi ona zaledwie 713 zł. Na przestrzeni wszystkich lat przedwojennej i wojennej działalności Kasy tak niską przeciętną (nawet w osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych latach ub. stulecia) nie sposób znaleść. Przeciętny wkład wynosi obecnie ⅓ przeciętnej z 1913 r. Przyczyna uboczna: dopływ wkładców o małych zasobach pieniężnych (zjawisko dodatnie), przyczyna zasadnicza: powszechna pauperyzacja (zjawisko ujemne).

W ścisłym związku z brakiem kapitałów, czego ilustracją są pow. liczby, pozostaje zwężenie działalności Kasy, jako kredytodawcy. Pożyczki hipoteczne w 1931 r. stanowią 10,4 milj. zł. wobec 32,1 milj. zł. w 1913 r. (32%); ich przeciętna wysokość z 7.589 zł. spada do 3.613 zł. (do 47%). Charakterystyczne jest przytem, że gdy stosunek wkładów dolarowych do wkładów złotowych w 1931 r. brzmi jak 18 : 82 (w 1930 r. był jeszcze gorszy, brzmiąc jak 21 : 79, gdy w 1928 r. wynosił 11 : 89), to stosunek dolarowych pożyczek hipotecznych do takichże pożyczek złotowych jest jak 19 : 81 (w 1928 r. jeszcze 8 : 92). Cyfry te pomagają nam traktować przyrost wkładów po drugiej stabilizacji złotego mniej entuzjastycznie, a więcej ostrożnie.

Nie będziemy tutaj przytaczali szeregu innych, niezmiernie ciekawych i charakterystycznych zestawień, ilustrujących zmiany procesów kredytowych w okresie powojennym. Wystarczy tylko podkreślić, że przeciętna pożyczka wekslowa w 1931 r. wynosiła 1.133 zł. czyli 38% przeciętnej z 1913 r. (2.933 zł.), który zresztą nie daje najwyższego stanu; że pożyczki wekslowe w dolarach do pożyczek w złotych miały się w r. ub. jak 20 : 80 (w 1928 r. stosunek ten brzmiał 16 : 84); że pokrycie wkładów gotówką, lokatami i papierami wartościowemi było niemal 2 razy silniejsze, niż w 1912 r., protesty wekslowe zaś, które w 1913 r. stanowiły 4,35% waluty wekslowej, w 1931 r. stanowiły tylko 1,52%, a mimo tych dwuch rzeczywistych dowodów rozumnej gospodarki Kasy jej popularność powojenna nie była w stanie dorównać stanowisku przed wojną; że — nakoniec — odsetki od pożyczek hipotecznych, które w okresie 1903 — 1912 r. wynosiły przeciętnie 5,5% rocznie, w okresie 1924 — 1931 podniosły się do 11,6 proc., odsetki zaś płacone od wkładów wzrosły z 4% na 9,2%. Nawiasem przytem wspomnimy, że czysty zysk Kasy w wybitnie kryzysowym 1931 r. przekracza 368 tys. zł., którego to poziomu Kasa nigdy przed wojną osiągnąć nie umiała (max. w 1910 r. wynosiło 273 tys. zł.).

z. i.

REMINISCENCJE.

W ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia jedna z trzech naszych dzielnic, Galicja, przechodziła łącznie z całą ówczesną monarchją austro - węgierską — głęboki kryzys gospodarczy o wybitnym podkładzie strukturalnym. Po okresie wysokich cen na zboże i rozwoju wielkiego przemysłu przychodzi rok 1873, rok hiperprodukcji, bankructw, kryzysu i—w konsekwencji — zastoju wytwórczości. Rolnictwo odczuwa na sobie wzmożenie konkurencji zamorskiej, przemysł — wzrost współzawodnictwa produkcji przemysłowej Niemiec. Galicja zostaje powstrzymana w swym rozwoju, przyczem, rzecz charakterstyczna, przyrost jej ludności jest minimalny, o wiele mniejszy, aniżeli w innych krajach monarchji.

O tem, że przeżywany kryzys posiadał głębsze znaczenie, zdawano sobie niezgorzej sprawę. „Czas" z 24. IV. 1879 r. pisze wówczas artykuł, którego meritum posiada wiele cech wspólnych z rozsądniejszemi głosami współczesnej polskiej publicystyki gospodarczej. Z artykułu tego przytaczamy jeden charakterystyczny ustęp:

„Klęska, jaka spadła na rolnictwo krajowe przez niskie ceny zboża przy stosunkowo drogiej produkcji wywołała zbawienną myśl *ankiety zbożowej*[1]). Najpoważniejsze głowy w ankiecie wykazały jak na dłoni, że zniżenie się cen zbożowych nie wynika z przypadkowych konjunktur, ale jest wynikiem nagłego rozgałęzienia się produkcji, która, zyskując coraz większą ilość dróg na targi zachodnie, grozi też coraz większem obniżeniem, a nawet utrwaleniem cen niskich. Nastała więc chwila, w której nietylko o *organizacji* handlu zbożowego i o zakładaniu spółek rolniczych, ale może nawet i o *zmianie całego systemu gospodarczego* wszechstronnie trzeba pomyśleć i wprowadzić w tym kierunku działanie zbiorowe na praktyczne cele".

Trudne gospodarczo momenty zawsze sprzyjały powstawaniu społecznych ruchów organizacyjnych i zmianie systemu gospodarowania. Czekamy więc i my na pozytywne i dodatnie działanie przeżywanego obecnie kryzysu.

s.

[1]) Podkreślenia nasze.

KONTRAHENCI.

Znane są od szeregu lat lamenty rolników na temat krzywdy, którą im wyrządza handel, ciągnąc nadmierne zyski z pośrednictwa artykułami rolnemi. Na wszystkich konferencjach rolniczych, w szeregu rezolucji uchwalano walkę z pośrednictwem, dopatrując się w niem jednej z przyczyn złej sytuacji rolnictwa. O tej walce rolników z handlarzami da się naogół powiedzieć, że „wart Pac pałaca". Trudne do zrzeszenia i niesforne gromady rolnicze stykają się tu z nieraz równie trudnemi do zrzeszenia rzeszami kupieckiemi. Delegaci ich w memorjałach swych wylewają wiele atramentu, a w praktyce handel i rolnictwo zbyt od siebie są zależne, by mogły się wzajemnie bez siebie obywać.

Najnowszym jednak „ konikiem" rolników jest „konieczność uzyskania wypełnienia postulatów rolnictwa" przez przemysł. Chodzi tu poprostu o znaną sprawę zużywania w większych niż dotychczas rozmiarach surowców krajowych przez przemysł. Jest w tem wiele żądań słusznych (zwłaszcza wobec obecnej sytuacji międzynarodowej). Za pożądany objaw

można uważać tendencje rolników do zrzeszania się w tym celu, by módz stanowić odpowiedniego kontrahenta dla zrzeszonego przemysłu. Zrzeszenia te są specjalnie pożądane w formie organizacyj rolniczo-handlowych, czy też porozumień rolnictwa z handlem.

Z góry jednak należy wykluczyć możliwość tworzenia jakichkolwiek „karteli rolniczych". Wszelkie pomysły idące w tym kierunku nie mają zupełnie racji bytu. O ile bowiem możliwe jest zrzeszanie się w formie karteli niewielkiej ilości dużych warsztatów przemysłowych, o tyle całkowicie chybiają celu zrzeszenia o charakterze karteli gałęzi produkcji, reprezentowanych przez wielką ilość warsztatów drobnych, lub o nierównej wielkości. Wszelkie tego rodzaju kartele miały bardzo krótki żywot i kończyły się całkowitem niepowodzeniem. Jednym z ostatnich przykładów tego na terenie Polski było garbarstwo, które zrzeszone przez pewien czas w organizacji kartelowej, parę miesięcy temu przeszło do wolnej konkurencji.

Dążeniem aktualnem zrzeszeń rolniczych w pertraktacjach z przemysłem winna być nie „równie zwarta postawa", lecz umiejętność ustalenia warunków do jakich należałoby przystosować produkcję surowców krajowych, w celu umożliwienia korzystania z nich przemysłowi.

w. d.

„DOBROBYT SPOŁECZEŃSTWA A WYCHOWANIE".

Pod powyższym tytułem ukazała się nakładem Ligi Pracy broszura, zawierająca 3 szkice Dr. Rogera Battaglii.

W pierwszym autor uzasadnia konieczność wychowania obywateli w świadomości, jak postępować, aby poprawić swój byt materjalny, oraz wyjaśnia potrzebę zaznajomienia szerokich warstw społeczeństwa z elementami nauk ekonomicznych. W szkicu tym podane są dotychczasowe próby, wysiłki i projekty zaradzenia złemu w tej dziedzinie.

W szkicu następnym uzasadnia Dr. Battaglia konieczność wychowania w duchu solidaryzmu, który, jego zdaniem nadaje się najlepiej, jako podstawa ideologiczna działalności gospodarczej w gospodarstwie „oblężonem", w przeciwieństwie do skrajnego liberalizmu, odpowiedniego dla mało zaludnionych obszarów, oraz do socjalizmu, wymagającego wysokiego, nieosiągalnego często poziomu etyki społecznej.

Szkic trzeci: „O wychowaniu gospodarczem sfer gospodarczych" zawiera szereg ciekawych uwag, ale po starym praktyku z głęboką znajomością nauk ekonomicznych, lub, jeśli kto woli, po uczonym ekonomiście, który w niejednej branży czynnie pracował, można się było spodziewać żywszego przedstawienia potrzeb sfer gospodarczych w tej dziedzinie.

Całość ma za zadanie spopularyzowanie idei, że pewne wiadomości gospodarcze należy wpajać w społeczeństwo, gdyż wbrew założeniom ekonomji klasycznej, nie każdy człowiek zdaje sobie sprawę co najlepiej odpowiada interesom jego i społeczeństwa. Pewną trudnością w popularyzacji działalności tej broszury będzie jej styl, dostępny tylko dla erudytów. Ci i tak wiedzą, że idee nie krzewią się same. Zwykły czytelnik, którego przekonać należy, znużony językiem, odłoży tę broszurę, z wielką nb. szkodą dla siebie, bo myśli, które Dr. Battaglia podaje, warte są zastanowienia.

S.

INFORMATOR SPÓŁDZIELCZY.

Nakładem Spółdzielczego Instytutu Naukowego, ukazał się „Informator Spółdzielczy Towarzystwa Kooperatystów. Ma on na celu dać ścisłe i świeże wiadomości o spółdzielniach w Polsce. W bogatej treści między innemi omówiony mamy stan i organizację ruchu spółdzielczego w Polsce, instytucje i szkolnictwo spółdzielcze, bibljografję, statystykę, dużo wreszcie miejsca poświęcono spółdzielczości zagranicznej.

„Informator" jest pierwszym tego rodzaju wydawnictwem, stąd nie może sobie rościć prawa do doskonałości. I tak, jeżeli można było obszernie mówić o budowie, historji, ideologji i działalności Zjednoczenia Związków Spółdzielni Rolniczych, to chyba nie należało tak skąpo oświetlać działalności Unji Związków Spółdzielczych. Brak tu również porównawczej dysertacji dotyczącej różnic i podobieństw tych dwuch organizacyj; „Informator" chyba mógł to dodać.

Stosunkowo zbyt wiele, a nie zawsze ściśle, poświęcono miejsca spółdzielczości ukraińskiej w Polsce. Czytamy na str. 25: „terenem jej działalności są województwa: lwowskie, tarnopolskie, stanisławowskie poł. wschodnie powiaty woj. krakowskiego, wołyńskiego, poleskiego i wschodnia część woj. lubelskiego. Spółdzielczość na tych terenach ma swoje tradycje od czasów przedwojennych..:" Może to trochę przesada, bo b. zabór rosyjski przed wojną nie był bazą operacyjną spółdzielni ukraińskich. Stwarzanie zatem tradycyj ukraińskich na tak szerokich terenach jest niczem nie uzasadnione.

Niezbyt przejrzyście zredagowany jest dział, dotyczący instytucyj państwowych, zajmujących się spółdzielczością. „Informator" nie daje czytelnikowi jasnego pojęcia o kierunku działalności Rady Spółdzielczej i Gł. Urzędu Statystycznego. Rada Spółdzielcza dba głównie o udoskonalenie prawnych podstaw ruchu spółdzielczego. Główny Urząd Stat. opracowuje i ogłasza statystykę ruchu spółdzielczego w Polsce i zagranicą. Suche cyfry publikowane są w „Rocznikach" i „Wiadomościach Statystycznych". Dodać tu trzeba wyczerpujące monografje, dotyczące poszczególnych typów spółdzielni, ogłaszane w „Kwartalniku Statystycznym". Obowiązkiem „Informatora" było zwrócić uwagę i wskazać, co może znaleźć czytelnik w tych wydawnictwach i gdzie ich szukać. Zamiast nieistotnych dla czytelnika uwag należało prosto i wyraźnie zaznaczyć, gdzie się można zwrócić po informacje, do jakiego wydziału, referatu, pod jaki telefon, gdzie można nabyć wzmiankowane wydawnictwa urzędowe. Trzeba również było wspomnieć, co to jest ta Rada Spółdzielcza w administracji państwowej, gdzie się mieści, przy jakiem ministerstwie, od jakiego roku wychodzą jej sprawozdania i biuletyny dotyczące wkładów. To byłyby istotne wiadomości „Informatora" dla tych, którzy będą się nim posługiwali.

Dział „bibljografja spółdzielcza po r. 1900" nie spełniła zadania „Informatora". Posiada rażące braki wielu dzieł, które czynią tę część małej wartości. Mówiąc o Stefczyku (str. 68 — 70) i odsyłając czytelnika po szczegóły do literatury, należało przytoczyć możliwie wszystkie dzieła z tego zakresu, albo tylko najcenniejsze. A trzeba przyznać, że dotychczas bezapelacyjnie najwięcej źródłową i naukową pracą jest M. Doskocza: „Raiffeisen — Stefczyk —

Kampelik". Okolicznościowo — propagandystyczna broszura J. Bieleckiego mogła figurować między innemi, ale nie być wysuniętą jako praca autorytatywna. „Informator" musi być w takich razach objektywny. Tego tu brak.

Dział „Statystyka Spółdzielni w Polsce" ze szczegółowemi i oryginalnemi niektóremi tablicami posiada rażący brak analizy cyfr w dodatku przestarzałych (1929). Należało raczej opóźnić wydanie „Informatora", aż sprawozdania wszystkich związków rewizyjnych ujrzą światło dzienne. Redakcja zaznacza w przedmowie, że monografje dotychczasowe o spółdzielczości „nie odpowiadają już dzisiaj potrzebie, nie ogarniając lat ostatnich". Właśnie tę lukę należało „Informatorowi" wypełnić. Tymczasem „Informator stwierdził brak, ale deficytu dostatecznie nie załatał.

Jeszcze jedno; brak „Informatorowi" jakiejkolwiek wzmianki o bibljotekach spółdzielczych i ich kierunkach pod względem treści, oraz poważniejszych zbiorach spółdzielczych dzieł bibljotek ogólnych. Dodać by tu należało uwagi o warunkach korzystania z tych zbiorów.

Pomimo tych braków i błędów, „Informator" jest pożytecznym przyczynkiem do literatury spółdzielczej.

w. w.

SKUTKI KRYZYSU I AUTARCHJI.

Rozpatrując statystyki handlu zewnętrznego 26 państw europejskich za rok 1931 i porównywując je ze statystyką za rok 1928, dochodzimy do ciekawych rezultatów, w których dopatrzeć się można wpływu, jaki na tok wymiany międzynarodowej wywiera z jednej strony powszechna depresja gospodarcza, a z drugiej — równie powszechna autarchja.

Rok 1928 dlatego najlepiej nadaje się do porównań, że w roku tym świat nie wykazywał jeszcze zupełnie znamion kryzysowych. Coprawda, to i w roku następnym trudno mówić o kryzysie, gdy się bierze pod uwagę jedynie obroty handlu zagranicznego; zresztą odchylenia między r. 1928 a 1929 są pod tym względem wprost nieznaczne. Ponieważ jednak w Polsce przyjęto rok 1928 za punkt szczytowy konjunktury, więc weźmiemy go za podstawę naszych wyliczeń.

Okazuje się zatem, że obrót handlu zagranicznego Europy z 34.452 milj. dol. w 1928 r. spadł do 22.380 milj. dol. w 1931 r. (bierzemy pod uwagę sumę importu i eksportu). Oznacza to spadek o ⅓, ściślej o 35%. Najgorzej przedstawia się tutaj sytuacja Hiszpanji, gdzie spadek wyniósł 76%. Za nią idzie Finlandja ze spadkiem obrotów o 51%. Polska należy do grupy, gdzie obroty h. z. w 1931 zmniejszyły się o 40 — 50% w porównaniu z 1928 r.; w grupie tej figirują: Estonja (49%), Anglja (46%), Węgry (45%), Polska (43%) i Włochy (41%). W pozostałych krajach Europy spadek był znacznie mniejszy i tak np. w Belgji, Bułgarji, Danji, Irlandji, Norwegji, Szwajcarji i Szwecji nie przekraczał on 30%.

Dwa tylko państwa — dwa wyjątki, potwierdzające regułę — odchyliły się od nakreślonego pionu. Są to: Litwa (przyrost 1%) i—Rosja Sowiecka (+10%).

Główny promotor autarchji, bezwzględny wierzyciel Europy — Stany Zjednoczone — zebrały najgorszy plon burzy, którą posiały: ich obroty handlu zagranicznego spadły od 1928 do 1931 o 51%. Ładny „rekord"!... *z. i.*

W KILKU WIERSZACH.

Angielski kanclerz skarbu, Neville Chamberlain, przemawiając przed paroma tygodniami w Izbie Gmin, oświadczył, że aczkolwiek bezpośrednie opodatkowanie doszło już do „ostatnich granic", o zwolnieniu śruby podatkowej nie może być absolutnie mowy. Kanclerz i w roku bieżącym (1932/33) musi od podatnika domagać się nowych ofiar, by móc dzieło równowagi skarbowej doprowadzić do końca. Podatek od piwa, który wywołał tak silny sprzeciw piwowarów i spożywców, nie będzie — zdaniem kanclerza — zniżony, gdyż na uszczerbek 10 miljonów funtów (...1,3% budżetu) Anglja sobie pozwolić nie może.

Gdy chodzi o równowagę budżetową. Skarb jest nieubłagany. Poświęca zasady skarbowości, poświęca popularność rządu i wykorzystuje elastyczność potrzeb społeczeństwa.

* * *

W budżecie Wielkiej Brytanji na rok 1932/33 uderza w oczy 5 okoliczności: 1. dochody w minimalnym stopniu odchylają się od dochodów, osiągniętych faktycznie w 1931/32 r., coby świadczyło o spodziewanej stabilizacji konjunktury w Anglji; 2. cła i akcyzy, które w r. 1931/32 przyniosły 256 milj. funtów, czyli 57% wpływów z podatków bezpośrednich, podniesiono do 300 miljonów funtów, czyli 70%, co dla ewolucji struktury budżetowej angielskiej, opartej dotychczas głównie na opodatkowaniu bezpośredniem, jest wielce charakterystyczne, 3. opłaty akcyzowe, czyli podatki pośrednie, opierają się głównie na obciążeniu konsumcji piwa i spirytualij oraz biletów widowiskowych, w cłach zaś na pierwsze miejsce wysunęły się cła od tytoniu, nafty i cukru; 4. wydatki na zdrowie publiczne i świadczenia socjalne stanowią 18% ogółu wydatków, emerytury cywilne i wojskowe 9%, obsługa długów państwowych 40%; 5. budżet zamyka się nadwyżką w wysokości 800 tys funtów.

* * *

Dochody i wydatki niemieckiej administracji publicznej Rzeszy, państw związkowych i samorządów wynosiły (w miljonach marek):

Rok	Wydatki	Dochody	Deficyt
1926/27	13.630	12.796	834
1927/28	14.976	14.907	69
1928/29	16.968	15.758	1.210
1929/30	16.607	15687	920
1930/31	17.086	15.643	1.443

Przeciętne roczne wydatki w wymienionem pięcioleciu stanowiły 15.853 milj. RM. W przeliczeniu na głowę ludności daje to 244 marki czyli 517 złotych.

Dla porównania stwierdzamy, że w Polsce obciążenie 1 mieszkańca wydatkami państwa i samorządu terytorjalnego w 1928/29 r. dosięgło 133 złotych.

* * *

Długi wojenne państw europejskich, płatne w 1932 r. na rzecz Stanów Zjednoczonych A. P., wynoszą 246,6 milj. dolarów. Z sumy tej przypada na państwa aljanckie (W. Brytanję, Francję, Włochy. Belgję, Rumunję, Jugosławję i Grecję) 224,4 milj. dolarów, na państwa odrodzone (Polskę, Czechosłowację, Estonję, Finlandję, Łotwę i Litwę) 11,8 milj., na państwa zwycięzone (Austrję i Węgry) 0,4 milj. dolarów.

Gros ciężaru likwidacji skutków wojny spada na ludność Anglji, Francji i Włoch, gdyż na jednego mieszkańca tych krajów przypada 1,75 dol. i to tylko

wobec sojusznika zaoceanicznego. Na Polskę przypada 7,5 milj dolarów, czyli 0,24 dol. na głowę ludności, na Czechosłowację zaś 3 milj. dolarów, to znaczy 0.21 dol. na 1 mieszkańca.

Powyższe liczby stracą swą wymowę, o ile moratorjum Hooverowskie przedłużone zostanie jeszcze na 1 rok.

* * *

Od chwili porzucenia standartu złota przez Anglję, złoto z Ameryki szerokim strumieniem płynie do Europy. W okresie wrzesień 1931 — maj 1932 r. odpływ złota wyniósł 1.008 milj. dolarów. Był on częściowo zrównoważony importem, który za wspomniany czas sięga 410 milj. dolarów. Jednocześnie na rachunek banków zagranicznych, pracujących w Ameryce, nabyto 284 milj. dol. Per saldo zasoby kruszcowe Stanów Zjednoczonych zmniejszyły się w ciągu tych 9 miesięcy o 882 milj. dol., czyli o 18% stanu na 1. IX. 1931 r. W dniu 1 czerwca 1932 r. „stock'i" złota wynosiły 4.152 milj. dolarów.

* * *

Budżet republiki chińskiej, ściślej — terytorjum, na które rozciąga się władza rządu nankińskiego, zamyka się za I kwartał b. r. 248.6 milj. dol. po stronie dochodów i 322.0 milj. dol. po stronie wydatków. dochodach figurują m. in.: wpływy celne w kwoc 167,3 milj. oraz podatek od soli — 35,2 milj. dol.; do głównych wydatków zaliczyć należy: 26 milj. na wojsko, 30 milj. na administrację i partję Kuomintang oraz 190 milj. dol. na zwrot pożyczek i odszkodowań. Budżet w rezultacie zamyka się deficytem w wysokości 73,4 milj. dol„ do czego dorzucić wypada niedobór 1928/29 (100,1 milj.), 1929/30 (100,9 milj.) i 1930/31 r. (szacowany na 180 milj. dol.).

* * *

Charakterystyczną cechą fiskalizmu republiki chińskiej jest wszechstronność i wielokrotność obciążeń podatkowych. Obywatel chiński płaci podatki państwowe i prowincjonalne, podatki bezpośrednie, pośrednie i cła, daniny stałe i jednorazowe, zasadnicze i dodatkowe. Jak obliczono, chłopi prowincji Szantung obowiązani są płacić... 65 różnych podatków. Ludność prowincji Hobe obciążona została podatkiem w wysokości 10 centów, który się uiszcza.. przy wejściu do któregokolwiek z urzędów publicznych. Chłopi zaś, którzy przekraczają wozem lub na grzbiecie zwierzęcia drogi, zarezerwowane dla samochodów (rzecz dzieje się w — Chinach), karani są grzywną w kwocie 2 dolarów.

* * *

Rosja Sowiecka importowała kauczuku 16.000 tonn w 1930 r. i 28.000 tonn w 1931 r. Import ten miał tendencję silnego wzrostu. Tymczasem — koczujący na stepach Kirgizi odkryli zupełnie przypadkowo roślinę, zwaną „tau - sagis". Posiada ona nader cenne właściwości: jej korzenie dają do 40% czystego, stężonego kauczuku. Co ciekawsze — będzie ją można zaklimatyzować nietylko w górzystych terenach Azji Środkowej, lecz również w kraju Zakaukazkim. W związku z tem rząd sowiecki przewidział dla krajowego kauczuku odpowiednie „miejsce w nowej piatiletce". Według planu plantacje „tau - sagis" mają za 5 lat dostarczyć conajmniej 88.000 t. kauczuku rocznie.

* * *

Rząd sowiecki polecił swym organom przystąpić do prac nad budową nowej wielkiej stacji hydroelektrycznej. Ta super-elektrownia ma stanąć w Kamyszynie nad dolną Wołgą. Jej produkcja osiągnąć powinna 2 miljony kwh. a jak twierdzą eksperci, zdolność wytwórcza elektrowni kamyszyńskiej będzie 4-krotnie większa, aniżeli „Dnieprostroju", uważanego za największą siłownię świata. Zadaniem tego kolosu będzie ponadto nawodnienie 4 miljonów hektarów stepu, położonego na lewym brzegu Wołgi, a nawiedzanego stale przez suszę. Sowiety spodziewają się uzyskać w ten sposób nowe 5 miljonów tonn zboża rocznie, od r. 1937 począwszy.

SPROSTOWANIE

W artykule „Jeszcze o dekrecie węglowym", zamieszczonym w Nr. 12 „Gospodarki Narodowej", na str. 186 tabelka, dotycząca wydobycia węgla i ilości zatrudnionych górników, została złożona cokolwiek niejasno. Należy ją czytać w sposób następujący:

	X. 1931	*IV. 1932*
Wydobycie w 1.000 t.	3.763	2.379
Zmniejszenie wydobycia	—	37%
Ilość zatrudn. robotn.	107.382	95.175
Zmniejszenie zatrudnienia	—	11%
	X. 1930	*IV. 1931*
Wydobycie w 1.000 t.	3.661	2.908
Zmniejszenie wydobycia	—	21%
Ilość zatrudn. robotn.	114.665	108.860
Zmniejszenie zatrudnienia	—	5%

Redaktor odpowiedzialny KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: CHMIELNA 23 M. 6 TEL. 727-99. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Drukarnia „Nowogrodzka", Tarczyńska 4, tel. 680-20.